ŚWIAT

1 ZŁ

Nr. 27. DNIA 8 LIPCA 1933 ROKU



ZAMEK W KAZIMIERZU — 600-LETNI JUBILAT

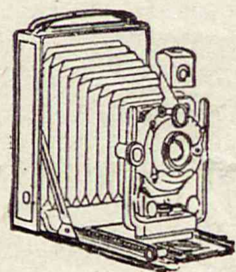
TREŚĆ:

ŁÓDZKO-WARSZAWSKIE TOW. TRANSPORTOWE

WARSZAWA ul. Sienna 94, tel. 712-80 i 605-92

ŁÓDŹ, ul. Dowborczyków 1, tel. 206-90

Codzienny przewóz towarów samochodami do Łodzi i z Łodzi.
Zwózka towarów i przewóz maszyn taborem konnym.
Przeprowadzki, ekspedycja kolejowa, magazynowanie towarów i mebli.



ERNEST NEUMANN

WARSZAWA, Tel. 262-88 i 654-96 MAZOWIECKA 6.

KAŻDY MOŻE FOTOGRAFOWAĆ!

Aparaty od **Zł. 36.–** do **300.–** i wyżej.

Ceny fabryczne. Życzącym na spłaty.

Wywoływanie i kopjowanie klisz szybko i starannie.

Cennik z objaśnieniami bezpłatnie.

Solidność i fachowość, które stworzyły dobre imię naszej firmy, egzystującej przeszło ćwierć wieku, dają rękojmię dobrego kupna.

NOWOCZESNE DRUKI REKLAMOWE

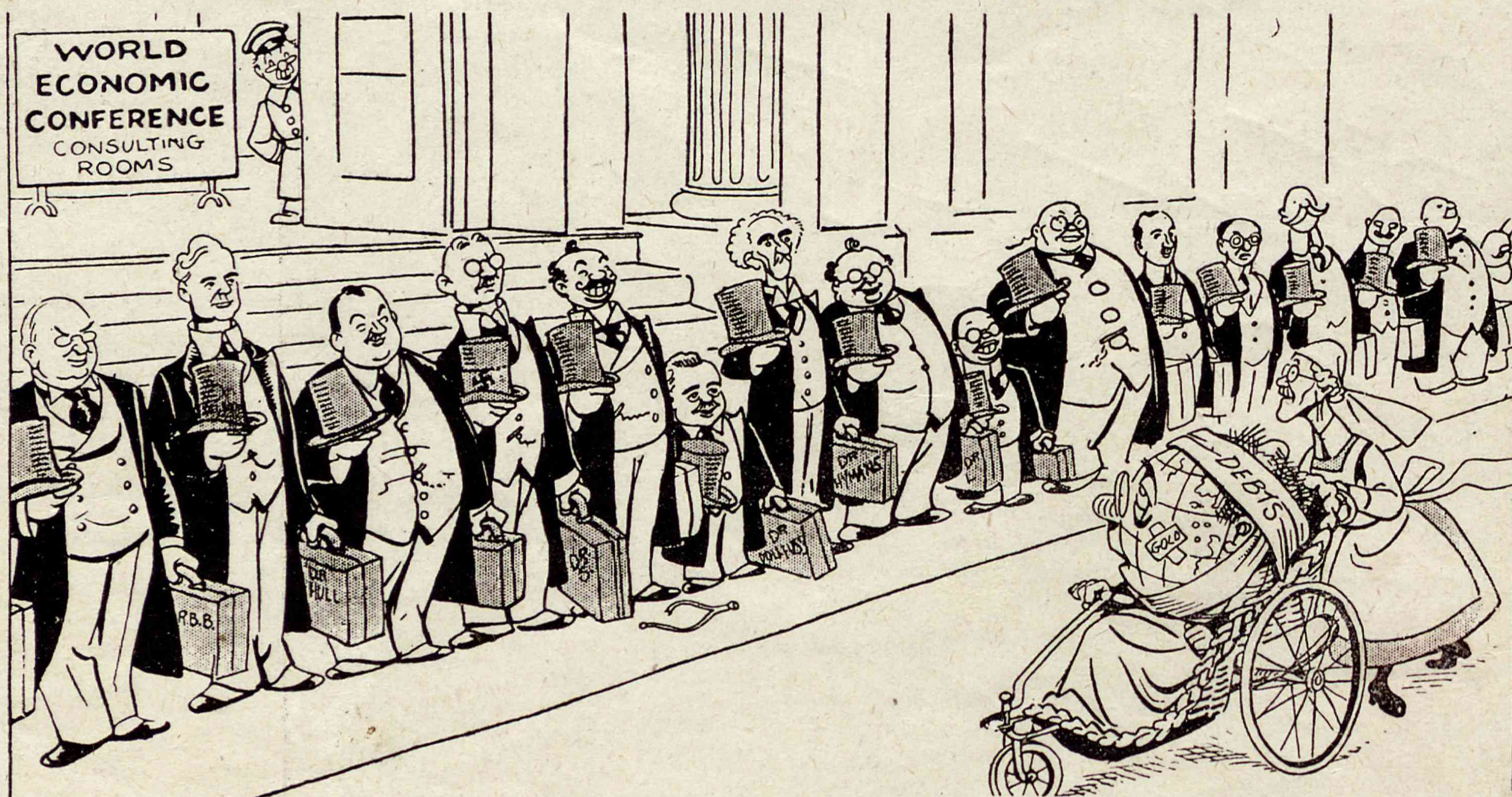


GALEWSKI i DAU

ZAKŁADY DRUKARSKIE

WARSZAWA, ORDYNACKA 6.

Żałosny koniec wszechświatowej parady w Londynie



Delegaci szykują się do wyjazdu. Troskę o chorego pacjenta pozostawiono miejscowej niani — MacDonaldowi

„Daily Express"

„ŚWIAT" rozchodzi się na całą Polskę: od Bałtyku po Karpaty i od Wileńszczyzny po Śląsk. A więc ogłoszenie w „Świecie" dociera do wszystkich

ZABURZENIA w TRAWIENIU PRZEWLEKŁE, UPORCZYWE ZAPARCIA STOLCA, ORAZ NADMIERNĄ OTYŁOŚĆ, BEZ SPECJALNEJ DIETY LUB ZMIANY TRYBU ŻYCIA, USUWAJĄ **„SZWAJCARSKIE GORZKIE ZIOŁA"** Z KOGUTKIEM





naśladowany-
nigdy niedościgniony
SILV-OZON-
MOTOR
idealna kąpiel
balsamiczna
kosodrzewinowa

ŚWIAT

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE
POD KIEROWNICTWEM NACZELNEM STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO
WARSZAWA, DNIA 8-go LIPCA 1933 ROKU
ROK XXVIII • NR. 27 • CENA NUMERU 1 ZŁOTY

UŚMIECH jest największą OZDOBĄ KAŻDEJ TWARZY!

Białe, zdrowe ZĘBY — OZDOBĄ UŚMIECHU!

Nie pozbawiajmy się dobrowolnie tej ozdoby przez karygodne zaniedbanie

Pielęgnujmy zęby

Eliksirem, proszkiem i pastą do zębów

M. MALINOWSKIEGO

Apteka, ul. Nowy Świat 31
Laboratorjum Chem. Farm.
Apteki, ul. Chmielna 4

DINOL PŁYN i PROSZEK
OPATENTOWANE NIEZAWODNE ŚRODKI
OD POTU
PŁYN-PRZY POCENIU PACH I RĄK
PROSZEK-PRZY POCENIU NÓG
USUWA POT I NIEMIŁĄ JEGO WOŃ JUŻ PO PIERWSZEM JEGO UŻYCIU
Lab. Chem. „DINOL" Warszawa

CZEKOLADA MLECZNA
WEDLA
O WYBITNYM SMAKU MLEKA

Obstrukcję, złe trawienie usuwają



Zioła Przeczyszczające
KARPIŃSKIEGO

TRAGEDJA ZŁOTA

(Od własnego wysłannika „Świata").

Kryzys gospodarczy, trapiący dzisiaj kulę ziemską, przejdzie do historji pod znakiem ucieczki od złota, która miała zapoczątkować koniec klęski i otworzyć drogę do lepszych czasów. Konferencja londyńska, zwołana dla ratowania ludzkości przed kryzysem, odbywa się w atmosferze walki państw, które już zarzuciły złoto, jako miernik wartości i podstawę pieniężną, z państwami, które pozostały wierne złotu i chciałyby, aby cały świat jaknajprędzej wrócił do żółtego metalu.

Walka o złoto, trwająca tysiące lat i znamionująca tak wielkie przewroty w dziejach ludzkości, jak odkrycie Ameryki, dziś przekształciła się na walkę ze złotem, której szermierzem najzawziętszym jest właśnie ta Ameryka, skąd w ciągu czterech stuleci czerpano największe bogactwa w drogocennym metalu. Stany Zjednoczone nie chcą słyszeć nietylko o powrocie do parytetu złota, ale i o tymczasowej stabilizacji ich waluty, umożliwiającej przywrócenie parytetu w niedługiej przyszłości.

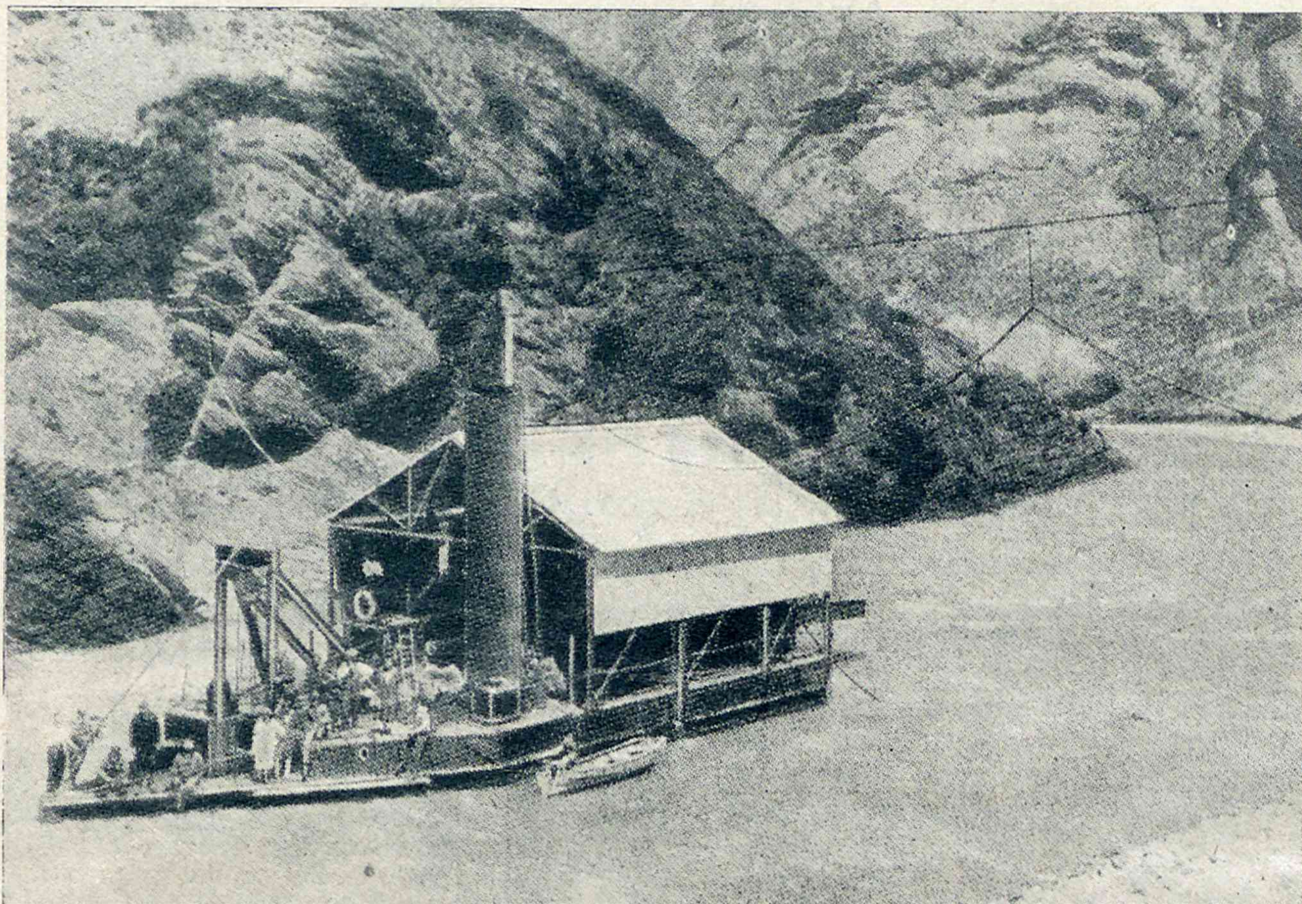
Złoto jest przecież najbardziej stałym miernikiem wartości, a Stanom chodzi właśnie o uruchomienie cen, o wyprowadzenie ich ze stanu równowagi, o niehamowany złotem pęd w górę.

Amerykanie nagromadzili w swoich skarbcach bankowych największe na kuli ziemskiej zapasy złota, i bynajmniej nie mają zamiaru wyzbywać się go; chcą jednak złoto spospolitować przez zaliczenie srebra do kategorji metali pieniężnych. Stawiają wnioski, zmierzające ku remonetaryzacji srebra, i cieszą się żywem poparciem Meksyku, największego producenta białego metalu, oraz Chin i Indyj, których ludność mierzy wartości tym właśnie metalem, a nie złotem.

Anglja, bankier świata, rozstała się z parytetem złota już przed dwoma laty. Pierwsza z wielkich mocarstw zaryzykowała zerwanie ze złotem, i wcale nieźle wyszła na tem. Przebieg kryzysu w Anglji jest o wiele mniej ostry, aniżeli w Stanach Zjednoczonych i gdzieindziej. Anglicy stale powiększają swoje zapasy złota, wyciągają je ze schowek i skarbców indyjskich, ale i oni, aczkolwiek godzą się na stabilizację wzajemną największych walut światowych, nie chcą słyszeć o powrocie do złota.

Francja, trzeci mocarz pieniężny, jest najgorętszą orędowniczką trwania przy złocie i powrotu do parytetu. Francja ma stosunkowo nie o wiele mniejsze od Stanów Zjednoczonych zapasy złota w skarbcu swego banku emisyjnego. Przeszła już jedną inflację, raz już oderwała swój pieniądz od złota i musiała stabilizować franka na poziomie o cztery piąte niższym. Jest dzisiaj najdroższym bodaj na świecie krajem. Nie chce zaryzykować nowej inflacji i nie chce swemu raz już zdewaluowanemu frankowi oderwać jego podstawy. Za Francją stoi cała czereda t. zw. małych państw, trwających przy złocie nie z przywiązania do metalu, gdyż posiadają go nieznaczne i niewystarczające zapasy, lecz z obawy przed groźnemi skutkami inflacji.

Nowy sposób wydobywania złota



Płukarka złotodajnego piasku na jeziorze Wakatipu w Nowej Zelandji.

O kompromis między trzema grupami państw będzie bardzo trudno. Każdy kraj określa swój stosunek do złota na podstawie dokładnego obliczenia. W sprawach gospodarczych niema sentymentu i piękne hasła nie mogą być rzucane z taką łatwością i z taką obłudą „wprowadzane w życie", jak w sprawach politycznych. Dramat złota nie skończy się, dopóki poszczególne państwa, a szczególnie wielkie mocarstwa, nie osiągną celów, dla których rozstały się ze złotem.

A jednak w tym okresie zarzucenia złota i oderwania się od niego pogoń za tym metalem jest bardziej wytężona i bezwzględna, aniżeli w tych prymitywnych czasach, kiedy nie znano pieniądza papierowego, kiedy nie było giełd, akcyj i obligacyj, kiedy nie zwoływano konferencyj światowych dla zbawienia ludzkości. Ci sami bowiem bankierzy i mężowie stanu, którzy pogardzają złotem, jako podstawą pieniądza, którzy nie chcą powrotu do waluty złotej, którzy chcą srebro posadzić na tron obok złota — ci sami ludzie gorączkowo powiększają zapasy złota w swoich krajach, szukają nowych źródeł i złóż metalu, chcą kryzys złota zwalczyć zwiększeniem jego ilości u siebie przedewszystkiem.

Złoto nie zostało jeszcze skazane na ostateczną zagładę. Jest tylko przeciążone pracą, jest go zamało, aby mogło wytrzymać cały ciężar olbrzymiej nowoczesnej budowli finansowej i przemysłowej. Lekarstwem na bankructwo złota jest — złoto, nowe złoto w dużych ilościach. Wtedy parytet złota będzie mógł znowu funkcjonować, ceny wzrosną automatycznie, wróci „prosperity" i wszystko będzie może znowu w porządku. Ci, którzy pozostali wierni złotu, są zdania, że ludzkość cierpi z własnych win, że dopuściła się śmiertelnych grzechów chciwości, nacjonalizmu gospodarczego, wojny, spekulacji, rozrzutności, a biedne złoto zrobiono kozłem ofiarnym.

Biedne złoto! Tak go mało na świecie, a tyle ciąży na nim odpowiedzialności. Gdyby wykopać dół dziesięć metrów głębokości i tyleż metrów szerokości, możnaby w nim pomieścić cały światowy zapas metalu. Cała metalowa podstawa walut wszystkich krajów świata, cały fundament olbrzymiej budowli finansów kuli ziemskiej zmieściłby się w tym jednym rowie. Dziesięciometrowy sześcian złota jest bowiem wart dwanaście miljardów złotych dolarów, a tyle wynosi wartość metalu we wszystkich skarbcach banków emisyjnych wszystkich pięciu części świata.

Druga taka kostka złota powstałaby, gdyby zebrać w jedno miejsce i stopić całe złoto, użyte na kosztowności, dla celów medycznych etc. Cała światowa produkcja złota od czasu Kolumba, kiedy udał się na odkrycie nowych skarbów w Indjach, wynosi zaledwie 22 miljardy dolarów, czyli tyle, ile warta jest produkcja zwykłego żelaza w samych Stanach Zjednoczonych w ciągu dwudziestu lat!

Złota przybywa z każdym rokiem, produkcja jest coraz doskonalsza i zyskowniejsza, zapasy złota rosną coraz szybciej, ale jeszcze szybszy jest postęp przemysłu i obrót gospodarczy, złoto nie może nadążyć za tym pędem, jest przepracowane i nie spełnia należycie swojej roli. Dlatego też otrzymało urlop w tych krajach, gdzie musiało dźwigać największy ciężar: w Stanach Zjednoczonych i w Anglji.

Trudno liczyć na zwiększenie produkcji złota w tak szybkiem tempie, aby nowe złoto nadążyło za rozwojem gospodarczym, aby dodało starym zapasom dostatecznych sił do pracy. Wprawdzie technika nauczyła się lepiej wyzyskiwać rudy i odkrywać nowe. Właśnie znaleziono złoto w afrykańskiej Kenyi i zwiększono odsetek wydobycia w Południowej Afryce. Syberja ma podobno zawierać wielkie jeszcze skarby. W Kanadzie zapanowała gorączka złota na Dalekim Zachodzie północnym. Akcje kopalń złota Randu są najlepszym dziś walorem na giełdzie londyńskiej. Do roku 1950, jak obliczają geologowie — nie ci z Geologicznego Muzeum londyńskiego, narazie jeszcze nie mającego nic wspólnego z geologją, poza skamieniałością konferencji gospodarczej, niezdolnej do życia i pracy — można będzie wydobyć za nowych 8 miljardów dolarów złota.

Ale czy to wystarczy? Czy nie należy raczej pomyśleć o reformie pieniężnej w skali światowej, o dostosowaniu się do istniejących zapasów złota i ulżeniu pracy tego metalu? Na konferencji słychać coraz więcej głosów za reformą pieniężną.

Skoro dobry i wypróbowany pracownik nie może podołać nadmiernej pracy, nie należy go wyrzucać i angażować gorszego robotnika, lecz raczej zmniejszyć ciężar jego pracy i stworzyć warunki, w których jego robota byłaby wydajna i korzystna. Czy pieniądz musi mieć 30 i 40 procentowe pokrycie w złocie? Przecież jest to umowa, która może być zastąpiona inną umową, zezwalającą na 20-procentowe pokrycie, na zaliczenie do pokrycia pomocniczego srebra etc.

Źle było, kiedy cała gospodarka światowa była w niewoli u złota. Dzisiejsza wolność na wzór amerykańskiej nie jest o wiele lepsza. Droga pośrednia znajdzie się, skoro tylko minie pierwsza gorączka uwalniania się od złota.

J. S.

Londyn w lipcu 1933 r.



(Wrażenia z pobytu na wyspach Malajskich)

III. PRZYRODA I MUZYKA

Muzyka ludowa jest odzwierciedleniem melodyj, płynących z przyrody danego kraju. Gdzie pieśń przyrody zamilkła, tam trzeba ją tworzyć i poddawać ludowi, lecz tam, gdzie przyroda jeszcze żyje, nieskrępowana narzuconą kulturą, tam w pieśniach dźwięczy nuta, jaką czułe ucho wyłowi zdala od osiedli ludzkich. Ze zjawiskiem tem można na Jawie spotkać się częściej i w daleko silniejszym stopniu, niż gdziekolwiek indziej, bo też przyroda Jawy rozbrzmiewa głosami tajemnemi, raz siejącemi lęk paniczny, to znów dyszącemi rozkoszą i namiętnością.

W noce pogodne, gdy cisza zapada, czarowne tony płyną, dając melodję słodką, upojną. W drzew poszumie dygocą liście, szepczą, gwarzą, może snują opowieść tęskną. A gibkie palmy chrzęszczą liści koroną, jak zbroje średniowiecznych rycerzy. Olbrzymie paprocie o dłoniastych liściach, jakby koronkowych, żalą się cichym szelestem w wichrze, który niemi pomiata. Smukłe palmy kokosowe, na podobieństwo olbrzymich pająków, zawiesiły koronę liści gdzieś na tle jasnego nieba. Gaje bambusowe, pełne rozgwaru, szmerów i słodkiej melodji, szumią łagodnie. A gdy wiatr w nie dmuchnie i rozhula się w ich gąszczu, lecą ostre długie liście, nakształt strzał, z łuku rzuconych. W lesie dziewiczym, wśród splotów lian i bluszczów, wiatr szumi gdzieś wysoko, kędy gną się i chwieją korony drzew...

Bór żyje. Coś mówi i szepcze, coś łka i zawodzi. Las gra. Każdy wiew wiatru szeleści liśćmi, dobywając z nich przedziwną melodję, napoły tęskną, napoły tajemną... A kiedy wieczór ozłoci wierzchołki drzew, puszcza gra pieśń miłości i szału, pieśń ukojenia i zapamiętałej walki. Czasem wrzask rozpaczny uderzy o niebiosa, jakby krzyk o ratunek, — to ptak śpiący w poszyciu drzew pada ofiarą nocnego rabusia, węża, który dusi swą ofiarę, daremnie trzepocącą w ostatnich drgawkach mdlejącemi skrzydłami. Wówczas bór milknie, zapada głucha cisza, — czyjeś życie uszło z ostatniem tchnieniem.

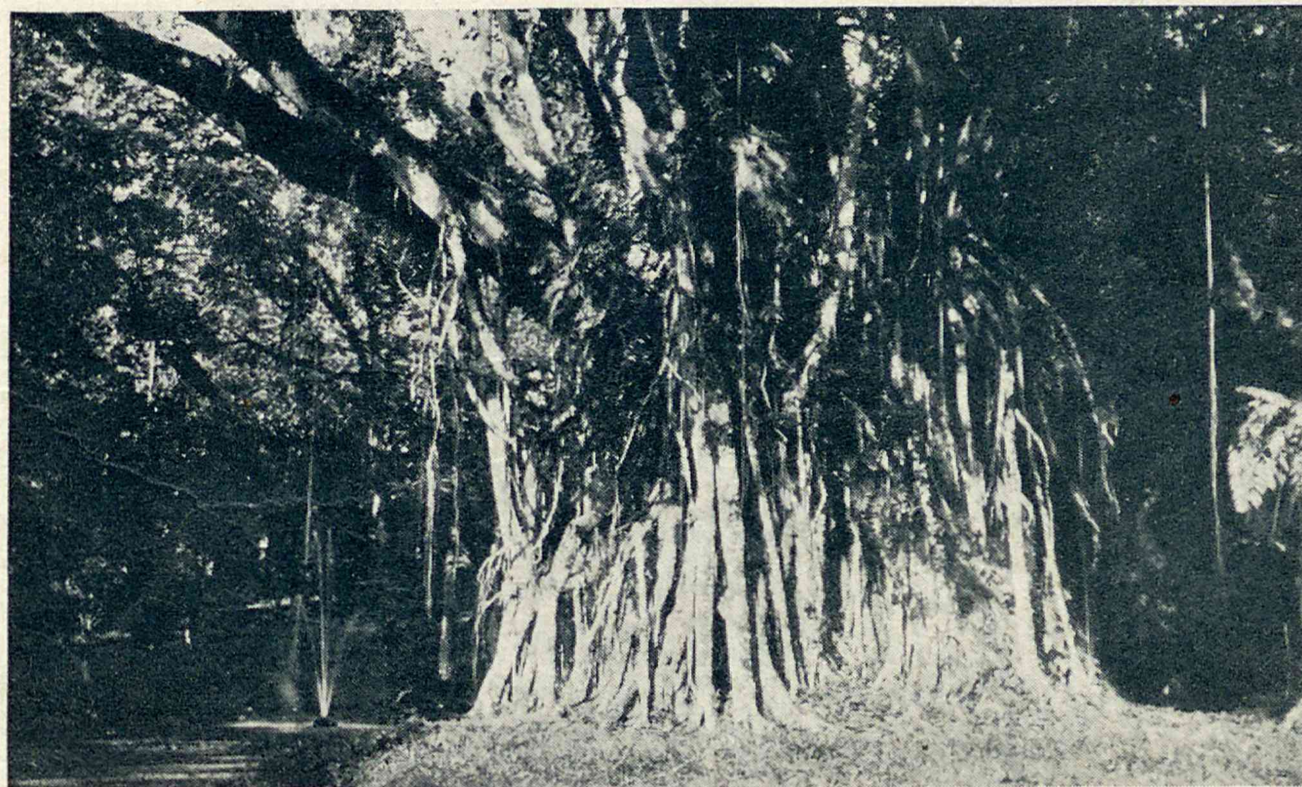
I znów dojmujący świst przeszywa zaległą ciszę, — to jaszczurka drzewna wydała okrzyk bojowy, ruszając na łowy. To znów słychać trzask łamanych gałęzi i głuche dudnienie, — gromadka dzików, spłoszona przez czarną panterę, umyka w popłochu, tratując i niszcząc napotykane przeszkody.

A kiedy zmilkną mocarze puszczy, zanucą smętne a słodkie piosnki roje ptasząt, ukrytych wśród listowia. Zawtórzą im owady przeróżne a przedziwne, drobne i olbrzymie. Zabrzęczą osy, zabrzmią chrząszcze, a uparte świerszcze raz po raz bzykaniem wypełnią zarośla. Gdzieś z oddali dobiega kumkanie żab, gdzieś zbliży syk węża sieje grozę wśród strwożonych mieszkańców boru. A ponad wszystkiem góruje przeciągły, donośny wrzask szarej małpy „gibbon": „Wau - wau - waaau", przechodzący w tęskny przewlekły ton „Oua - oua - ouaaa"...

Czasem tchnienie wichru zakołysze borem, zaszeleści zeschłym liściem i gwar milknie, zwarzony chłodnym powiewem. Bo wiatr niesie na swych barkach zwał chmur ołowianych, z których wkrótce chluśnie deszcz, długiemi, cienkiemi strugami chłoszcząc korony drzew. Słychać szum wody i plusk ściekających potoków. Kto żyw kryje się i zaszywa w gąszcz, by umknąć przed nawałnicą. A kiedy znów rozbłyśnie księżyc i osrebrzy wierzchołki drzew, — bór szepcze, gwarzy, może snuje opowieść tajemną...

Ta oto muzyka przyrody wywarła przemożny wpływ na muzykę jawajską.

Najciekawszą z muzyk, jaką miałem sposobność kiedykolwiek słyszeć, jest muzyka, zwana „gamelan", zarówno pod względem instrumentacji i harmonji, jako też melodji. Wrażenie, które wywiera na człowieku, umiejącym ją pojąć i wczuć się w nią całą duszą, jest ogromne. Nieodzownym warunkiem należytego zapoznania się z „gamelanem" jest możność usłyszenia go w pałacu bogacza ja-



Święte drzewo duchów „Waringin"



Orkiestra Sundanezów „trebang" i tancerki zwane „Rongeng"

wajskiego lub w czasie uroczystości publicznych, względnie rodzinnych. W pałacu sułtana orkiestra „gamelanu" rozporządza znakomitemi instrumentami; zwykły metal zastąpiono w niektórych ważniejszych instrumentach szczerem złotem, by wydobyć czysty ton.

W okolicach górskich Sundanezi grają, — rzecz prosta, — na instrumentach daleko skromniejszych, niemniej jednak trzeba przyznać, że sposób ich wykonania wykazuje wielki spryt i inteligencję. Instrumenty sporządzone są albo poprostu z bambusu, albo też odlane z rozmaicie stopionego kruszcu. Zespół muzyczny nosi nazwę „trebang".

Najgłośniejszemi i najważniejszemi instrumentami „gamelanu" są gongi różnej wielkości. Największe z nich dochodzą do dwóch metrów średnicy. Ciekawym instrumentem orkiestry jawajskiej są cymbały, składające się z szczerozłotych płyt (zwykły „gamelan" posługuje się miedzianemi), przezwane „saron". Pod każdą płytą znajduje się walec pionowo umieszczony, a wycięty z bambusa wielkości tak dobranej, że może dowolnie odbrzmiewać i potęgować zasadniczy dźwięk płyty. Przy każdym „saronie" zasiada czasami, — zależnie od jego rozmiaru, — po dwóch muzykantów. Dalszy instrument, w rodzaju ksylofonu o bardzo czystej intonacji, jest to długa ławeczka, z przymocowanym luźnie szeregiem deseczek bambusowych, w które uderza się elastyczną pałeczką. Pośrodku kwadratu, zajętego przez te dziwne a zdobne instrumenty, zasiada mistrz nad mistrze, skrzypek, dzierżący w ręku tak zwany „rebab", t. j. skrzypce arabskie. Toczony ich chwyt, opatrzony dwoma długiemi kołkami, przechodzi w komorę, kształtu serca, ciosaną z jednego wyżłobionego kawałka drzewa. Na przodzie komory, obciągniętej silnie napiętą skórą węża, opiera się wysoka podstawka. Na niej rozpięto dwie metalowe struny jednako brzmiące. Ponieważ umieszczono je wysoko ponad szyjką skrzypiec, przeto, trącając struny palcami, tłumi się ich drgnienia i dobywa li tylko tony przytłumione i dziwnie miękkie. Podłużny bęben, „kendang", obciągnięty skórą z obu stron, uzupełnia całość. Jedna strona bębna jest mniejsza od drugiej, skutkiem czego w chwili, gdy muzykant prawie jednocześnie uderza oburącz w obie strony, bęben wydaje dwa odmienne tony. Instrument ten poddaje takt całej orkiestrze. Dzwony „saron", gongi i ksylofon uderza się pałeczkami, owiniętemi kauczukiem, dlatego też ich głosy nabierają miękkości i pełności wyrazu. Sam kształt dzwonów sprawia, że dźwięki odznaczają się niezwykłą czystością, a choć miękkie i łagodne rozbrzmiewają donośnie. Słyszane zdala, oddają wiernie głosy przyrody, szemrząc na podobieństwo górskich strumyków, śpiewając głosami jawajskich ptaków.



Palmy nad brzegiem morza

Jawajczycy, Sundanezi i Malajczycy mają wrodzone zdolności do muzyki i odznaczają się niezwykłą pamięcią słuchową. Prawie każdy Jawajczyk posiada niezmierną łatwość w opanowaniu techniki muzycznej, więc też z łatwością przyswaja sobie umiejętność grania na różnych instrumentach.

Mój „diaga", to jest stróż i służący w jednej osobie, sprzątając pewnego dnia pracownię, ujrzał na ścianie instrumenty jawajskie, nadzwyczaj pięknie rzeźbione. Zaciekawiony zapytał:

— Brapa tuan bajar? — Ile pan zapłacił?

Widząc malujący się w jego oczach podziw dla instrumentów, zdjąłem ze ściany skrzypki sundańskie i, podając mu je, poprosiłem, by spróbował na nich zagrać. Jakież było moje zdumienie, gdy sługa, uchwyciwszy instrument drżącemi z radości rękoma, bez trudu zagrał na nich, jakby urodził się skrzypkiem. — Wypadki podobne nie są odosobnione; nieraz prosty „kuli", czyli robotnik, może z powodzeniem wziąć udział w koncercie.

(D. c. n.).

Stefan Mystkowski



Krzak ananasu

Jubileusz „Warszawskiej Szkoły Zdobniczej"

W zacisznem ustroniu warszawskiem przy ulicy Myśliwieckiej znalazła pomieszczenie „Miejska szkoła sztuk zdobniczych", która w tym właśnie roku skończyła 75 lat swego istnienia.

Chlubne dzieje tej uczelni rozpoczynają się od roku 1864, gdy rząd rosyjski zniósł wydział sztuk pięknych przy Uniwersytecie warszawskim za karę, iż studenci tego wydziału gremjalnie wzięli udział w powstaniu.

W miejsce wydziału uniwersyteckiego założyli Rosjanie „rysowalnyj kłas", zdegradowany w hierarchji szkolnej, nie mniej jednak pożyteczny, skoro wydał wychowanków tej miary, jak: Podkowiński, Wyczółkowski, Pankiewicz, Miłosz Kotarbiński i t. d., a za profesorów miał Wojciecha Gersona, Welońskiego, Lentza i wielu innych, świetnie zapisanych w dziejach sztuki polskiej.

Szkoła rysunkowa przetrwała do roku 1920 i nagle ocknęła się bez pana i bez środków i byłaby zakończyła sławny żywot, gdyby nie magistrat warszawski, który przejął ją na swój budżet, a prezydenci miasta otoczyli szczególną opieką.

Nie pozwolono zamrzeć świetnej tradycji warszawskiej, w tem dobrem rozumieniu, że zarówno doskonałe bruki, wzorowe kanały i piękne budynki, jak i świetne ludzkie mózgi są pomnikami i ozdobą miasta.

Skromne są zamierzenia „miejskiej szkoły sztuk zdobniczych", programy jej nie teoretyzują, wielkie idee artystyczne odsuwają na plan drugi, nie chcą rywalizować z akademjami sztuk pięknych, pragną bowiem wychować dobrych wykonawców, rezygnują więc nawet potrosze z rozdmuchiwania indywidualności artystycznych na korzyść pracy warsztatowej i opanowania rzemiosła.

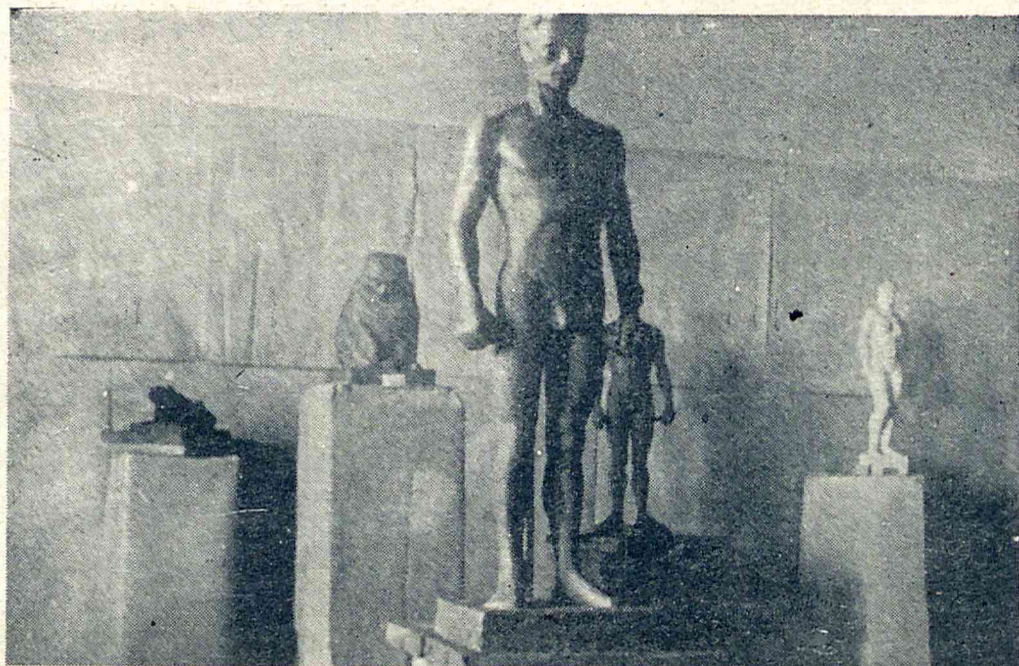
W rezultacie jednak dochodzą do takich wyników, iż pozazdrościć im może Akademja.

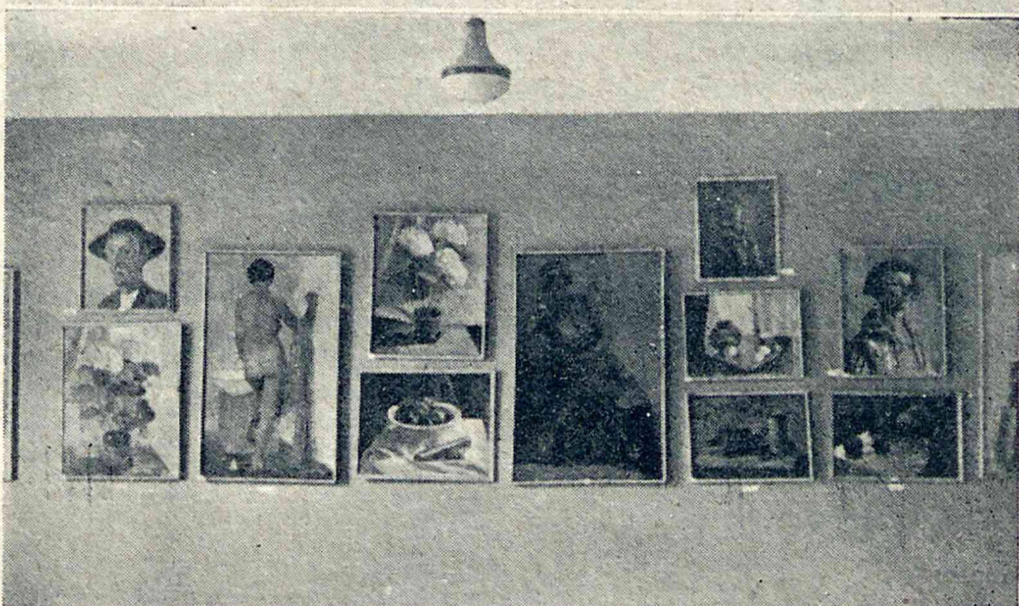
Ciasne jest pomieszczenie szkoły. — Akta trzeba malować „nosem na blejtramie", bo dwóch kroków cofnąć się nie można bez uszkodzenia sztalugi sąsiada — skarży się jeden z wychowanków — pracownie skromnie zaopatrzone w materjał, przyrządy i maszyny, a mimo tego wyniki są imponujące.

Dowodzi tego wystawa, urządzona ku uczczeniu 75-lecia szkoły i daje żywe świadectwo atmosfery i poziomu tej uczelni, skromnej w zamierzeniach a bogatej w plonie, ku chlubie stolicy. Prócz nauk ogólnych, obejmujących: rysunek, malarstwo, historję sztuki, uczą się wychowankowie specjalności, jak: grafika łącznie z drukarstwem i litografią, malarstwo ścienne, ceramika, projektowanie wnętrz, rzeźba, kilimkarstwo, architektura, a każdy z tych działów wykazuje wybitnych uczniów, dążących nietylko do opanowania techniki swych przyszłych zawodów, ale obdarzonych dużą inwencją twórczą i wybitnemi talentami.

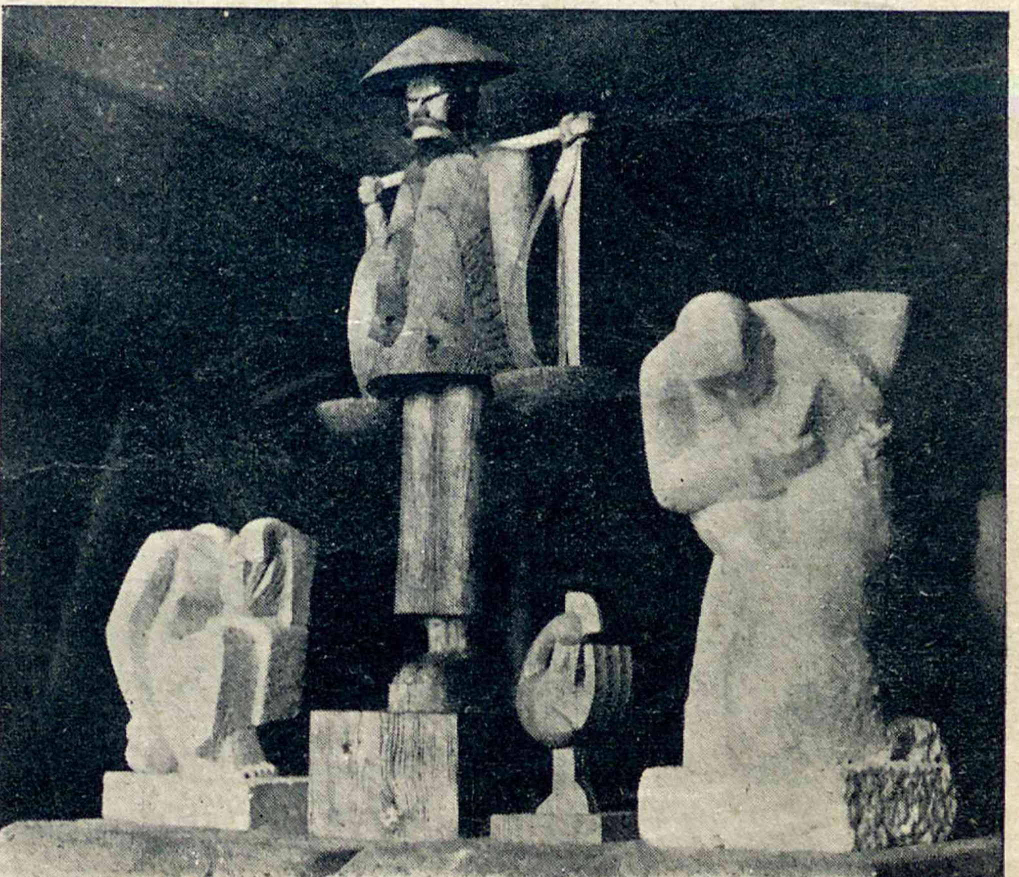
Dumną może być Warszawa z swej uczelni, która cicho i bez rozgłosu kształci najlepszy typ artystów, zaprawionych do sumiennej pracy. Sprawia to duch profesorów, którym w tej chwili patronuje, jako dyrektor szkoły, znakomity rzeźbiarz: Jan Szczepkowski.

Witold Bunikiewicz









Prace Miejskiej Szkoły Zdobniczej: malarstwo, rzeźba, ceramika, kilimkarstwo i t. p.

„ŚWIĘTO MORZA" W WARSZAWIE



W wigilję „Święta Morza" P. Prezydent Rzeczypospolitej ze statku „Francja", zakotwiczonego przed mostem Poniatowskiego, przyglądał się defiladzie całej flotyli wiślanej, począwszy od statków pasażerskich, jachtów i motorówek aż do barek piaskarzy, łódek rybackich i kajaków sportowych. Po defiladzie odbyła się tradycyjna uroczystość „Wianków" przy świetle reflektorów i rakiet.

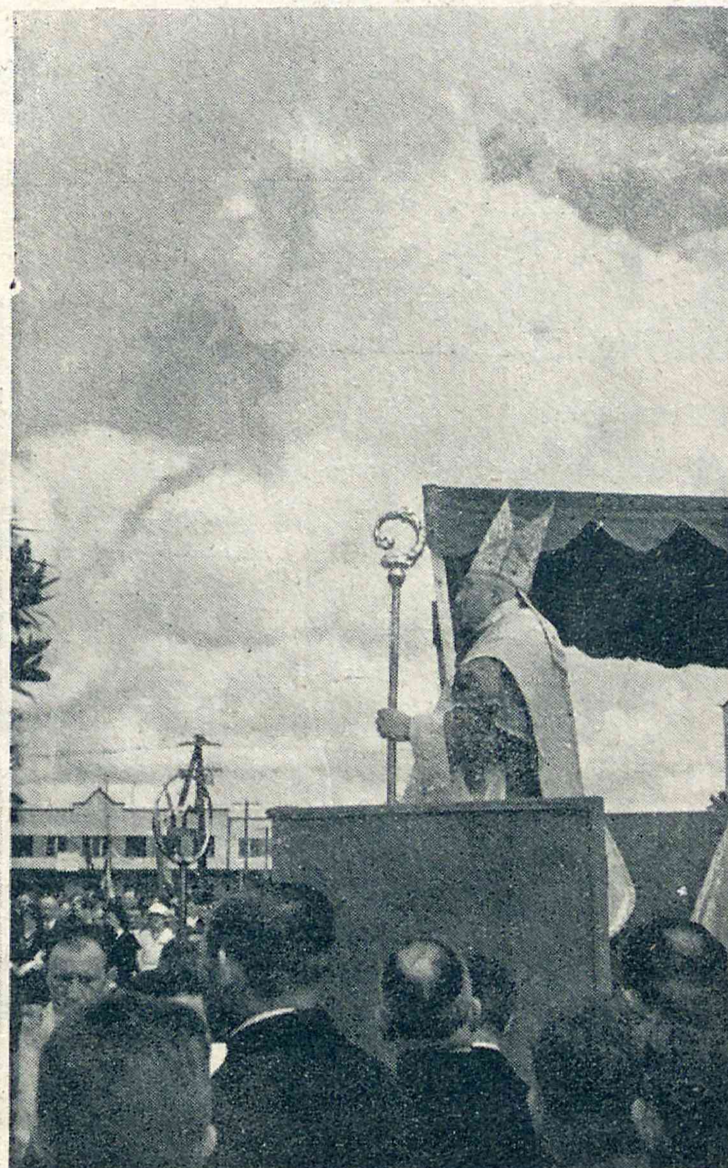
Fot. Jan Ryś

„ŚWIĘTO MORZA" W GDYNI



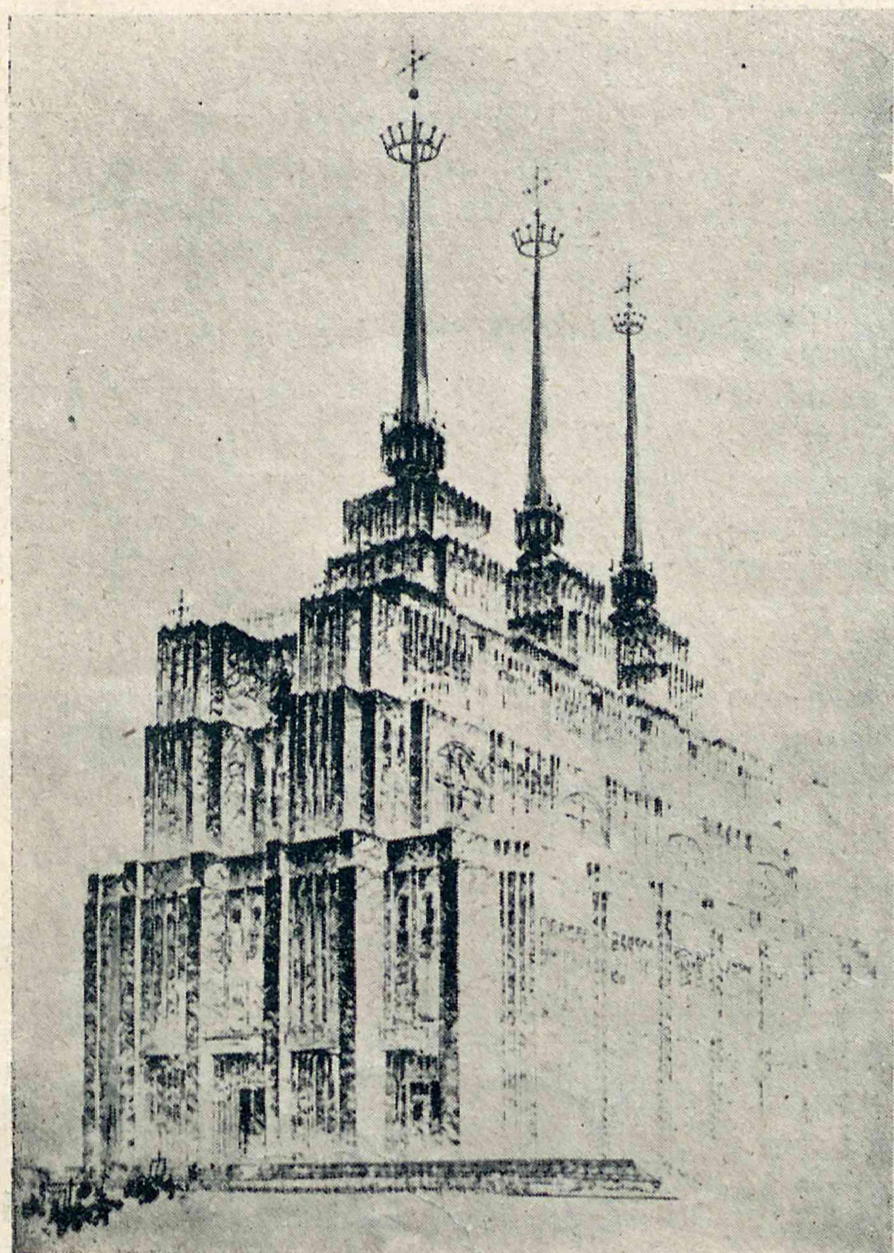
Orkiestra naszych marynarzy w pochodzie przez miasto

Fot. A. Sitkowski

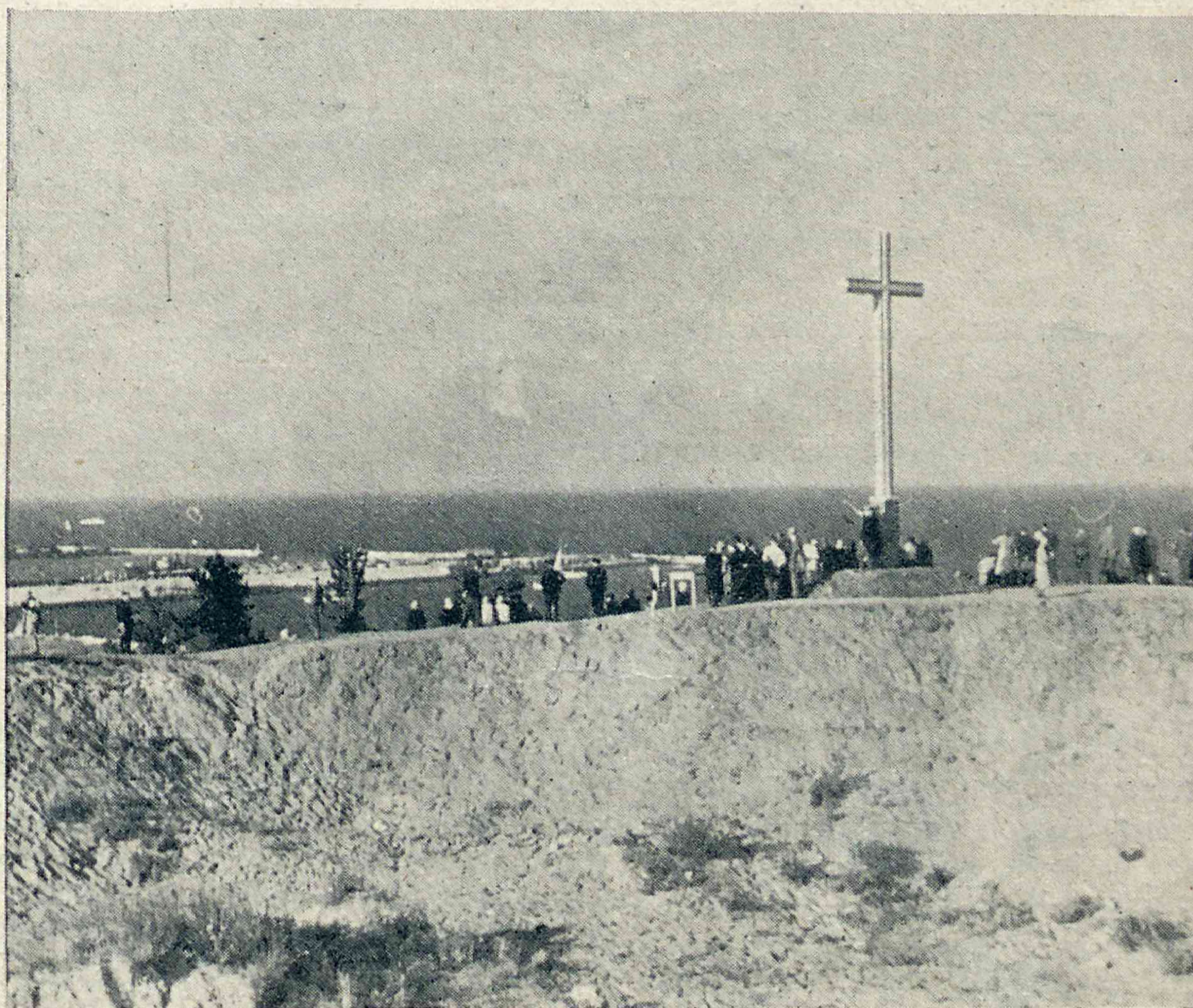


Ks. biskup Okoniewski odprawia nabożeństwo na pokładzie okrętu

ROZSTRZYGNIĘCIE KONKURSU NA BAZYLIKĘ W GDYNI

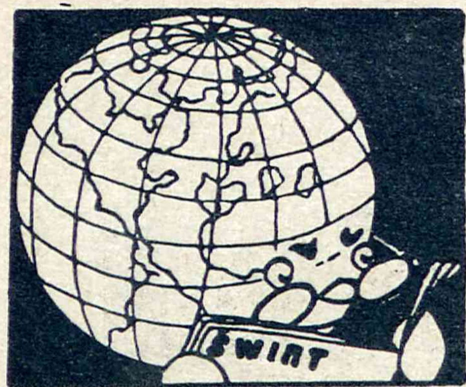


Projekt arch. B. Pniewskiego uzyskał I nagrodę



Miejsce na Kamiennej Górze, gdzie ma stanąć Bazylika

Fot. Photo - Plat



TYDZIEŃ ŚWIATA

Hydra opozycji

(k.). Stan zdrowia marszałka Hindenburga, zważywszy na jego dziewiąty krzyżyk, budzi wciąż poważne obawy. We wszystkich konwentyklach politycznych w Niemczech toczą się ożywione dyskusje. — Co będzie, gdy spokojnego, zrównoważonego naczelnika państwa nie stanie, kto będzie powołany na jego następcę?

Niedawno jeszcze wymieniano dwóch kandydatów: Hitlera i ekskronprinza. W ostatnich czasach jednak szanse b. następcy tronu znacznie się zmniejszyły. Teraz zwłaszcza, gdy główny przedstawiciel monarchistycznego legitymizmu, Hugenberg, popadł w niełaskę, o kronprinzu prawie że się nie mówi. Pozostaje na placu Hitler, nigdy niesyty władzy i zaszczytów.

...Lecz równocześnie kilka perjodyków francuskich przynosi wiadomości z Niemiec, jakoby tam już dawały się wyczuwać pewne nastroje malkontentyzmu z obecnego reżimu. Nie chodzi tu oczywiście o socjalistów i o inteligencję postępową: te sfery były zawsze wrogie Hitlerowi. Niezadowolenie jakoby daje się odczuwać w szerokich kołach drobnomieszczaństwa, które dusi się w niesłychanie ciężkich warunkach codziennego bytu i żadnych perspektyw na poprawę nie dostrzega. Krasomówcze efekty p. Hitlera również jakoby coraz częściej zawodzą. Trzeźwy umysł niemiecki dawał się czasem pociągać uczuciowości, — kabotynizm w Niemczech nigdy nie cieszył się dłuższem powodzeniem.

Prawda, p. Hitler pozornie zgniótł opozycję. Główny socjalistyczny organ niemiecki drukuje się w Czechach. Wszystkie posterunki obsadzone przez zelantów dyktatora, który nawet sztukę, literaturę i teatr chce wprząc w kierat swoich państwowych koncepcji. Historja uczy, jak się podobne zamysły kończyły. Że trafiają się ludzie, którzy wierzą w skuteczność tego rodzaju polityki, dowodzi tylko, że powojenny zamęt pojęć jeszcze nie minął. Rozwój ludzkości szedł zawsze w parze z rozwojem wolności ducha, literatury, sztuki... Tego procesu nie zatrzymają ani p. Hitler, ani jego naśladowcy. Naturalny bieg wypadków przejdzie rychło do porządku nad temi niebezinteresownemi arlekinadami.

Dwa sukcesy

(V.). Dobry tydzień miała dyplomacja polska. Wraz z sześcioma innemi państwami, sąsiadującemi z Rosją Sowiecką: Rumunją, Łotwą, Estonją, Turcją, Persją i Afganistanem, zawarła w Londynie „pakt ośmiu", podający prawną definicję napastnika, co nadaje realną wartość wszystkim dotychczasowym umowom o nieagresji. W ten sposób na Wschodzie powstaje wielki blok państw, zabezpieczonych wzajemnie i mających dzięki temu większą swobodę ruchów w stosunku do Zachodu. A jest to rzeczą konieczną wobec „paktu czterech", powołanego dla dość niejasnych i wzbudzających podejrzenia celów.

Przynosząc konsolidację stosunków na Wschodzie, konwencja londyńska po raz pierwszy ustala w prawie międzynarodowem pojęcie agresji, którego brak czynił iluzorycznem wszelkie przewidziane w traktatach sankcje przeciw napastnikowi. Nadto ma ona dla Polski doniosłe znaczenie, jako dokument, pod którym znalazły się podpisy Rosji Sowieckiej i Rumunji, nieutrzymujących z sobą dotychczas stosunków dyplomatycznych. Doprowadzenie tych dwóch państw, z których jedno jest z nami w przyjaznych stosunkach sąsiedzkich, drugie w ścisłym sojuszu — do podpisania wspólnego aktu politycznego stanowi wielki sukces dyplomacji polskiej.

Drugim bezspornym sukcesem jest wizyta nowego rządu gdańskiego w Warszawie. Prezydent Senatu dr. Rauschning oświadczył przy tej okazji, że „Gdańsk przystępuje do współpracy z Polską nietylko dlatego, że tak nakazują traktaty, ale i dlatego, że go do tego zmusza położenie geograficzne". — Mądre te słowa były zawsze podwaliną polityki polskiej wobec Gdańska. To też, gdy jego przedstawiciel oświadcza nadto, że „Traktat Wersalski stanowić ma dla Gdańska „magna charta", której nikomu tknąć nie wolno" i że „między Gdańskiem a Polską są możliwe nietylko poprawne, lecz i przyjacielskie stosunki" — my możemy tylko temu przyklasnąć.

Tydzień spalonych książek

(go) Każde barbarzyństwo musi oczywiście wywoływać właściwe odruchy. Szereg pisarzy niemieckich, i to co najpoczytniejsi, jak Mann, Ludwig, Wasserman, zostali w dziełach swoich spaleni. I teraz dopiero zaczną robić na swoich książkach świetne interesy. Oto już księgarze i wydawcy Czechosłowacji postanowili urządzić „tydzień książki spalonej", podczas którego będą sprzedawani specjalnie autorzy wyklęci przez Hitlera.

Tak się łączy piękne z pożytecznem: protest manifestacyjny przeciwko gwałtowi nad książką z dobrym interesem. Bo choćby z powodu spalenia ogromnych ilości tych książek stały się one, chwilowo przynajmniej, dopóki na emigracji nie nastąpią nowe edycje, białemi krukami.

Widzieliśmy i w Warszawie witrynę księgarską, za którą wystawiono wyłącznie książki „spalone".

Ale Czesi organizują to masowo.

Poetka w anegdocie

(go) Zmarła niedawno w Paryżu znakomita i niezmiernie popularna poetka, hr. de Noailles, z pochodzenia greczynka, znana była nietylko z talentu, ale i z dziwacznych swoich obyczajów.

Choć zupełnie zdrowa, w domu stale leżała w łóżku. Wstawała dopiero wieczorem, aby przyjmować gości u siebie, albo wyjechać na proszony obiad, prowadziła bowiem niezwykle światowe życie i miała bardzo rozległe stosunki.

Uchodziła za osobę nic nie jedzącą, tak mało potrzebował jej organizm, stanowiący zresztą jeden kłąb nerwów.

Ale za to mówiła...

Gdy zaczęła mówić, nie kończyła. Największe gaduły paryskie i całego świata, z którymi się spotykała, milkły w jej towarzystwie. Mówiła jednak bardzo ładnie i interesująco.

Choć istotnie utalentowana, była niezmiernie zazdrosna o swoją sławę.

Gdy otrzymywała jakiś nowy tom poezji, czytając go, drżała ze strachu, czy nie będą aby lepsze od

Król Iraku Feisal (z białemi rękawiczkami w ręku) ogląda na lotnisku angielskiem wojskowe aparaty podsłuchowe

W Kopenhadze 28 czerwca r. b. spadł śnieg, pokrywając ulice grubą warstwą. A my się skarżymy na brzydkie lato w Polsce!

jej utworów, o których miała zresztą wcale nie skromne pojęcie.

— Napróżno miałam tremę — zawsze potem mawiała.

Posiadała też talent malarski. Robiła wcale ładne akwarele, ale ich nigdy nie wystawiała.

Gdy ją na to namawiali — odpowiadała:

— Nie chcę, by malarka zaćmiła poetkę.

Ktoś w rozmowie porównał ją do Victora Hugo.

— Niech pan aby tego nie napisze, bo wypadałoby mi zaprzeczyć... — odrzekła.

Sabotażyści

(G.). Niedawno prasa zagraniczna doniosła, że pewne wielkie konsorcjum angielskie rozpisało zamknięty konkurs na dostawę jakichś wyrobów hutniczych dla Południowej Afryki. Między innemi zwrócono się też do wielkiej firmy w Katowicach. Ta nadesłała tak wysoką ofertę, iż z punktu ją odrzucono. W parę dni jednak nadeszła z Berlina znacznie niższa oferta od firmy ze Śląska niemieckiego, do której się wcale nie zwracano. Zastanowiło to Anglików i spytali ofertantów berlińskich, skąd zdobyli warunki zamówienia. Okazało się, że zakomunikowano je im z Katowic.

W ten sposób przedsiębiorstwa, kierowane przez Niemców w Polsce, odstępują swoje zamówienia zaprzyjaźnionym firmom w Rzeszy, pogłębiając u nas kryzys i bezrobocie.

Świeżo znów zdarzyły się analogiczne wypadki. Huty: Laura i Królewska otrzymały znaczne zamówienia na szyny dla kolei brazylijskich; musiały być one stemplowane przez delegata brazylijskiego dla stwierdzenia jakości. Via Gdynia szły szyny do Amsterdamu, gdzie były ponownie kontrolowane przez komisję brazylijską. Otóż komisja ta wykryła fałszowanie stempla na szynach, prawdopodobnie celem dyskredytowania wytwórczości polskiej. Generalnego dyrektora hut, niemca dr. Bernhardta aresztowano pod zarzutem sabotażu.

Jednocześnie prawie aresztowano czterech dyrektorów kopalń z pow. Rybnickiego za samowolne unieruchomienie kopalń, co wywołało wrzenie wśród pozbawionych pracy robotników. I w tem przejawił się złośliwy sabotaż.

Dobrze, że władze prokuratorskie nareszcie wzięły się do szkodników, działających na Górnym Śląsku. Ale te sporadyczne wypadki represji nie wystarczą. Jeśli chcemy Śląsk uratować od zniszczenia i utraty — musimy usunąć wszystkich dyrektorów i inżynierów Niemców.

Klęski chirurgji

(Old.). Opinję publiczną wstrząsnął nagły zgon znakomitego dekoratora Wincentego Drabika bezpośrednio po operacji dentystycznej, która według zapewnień lekarza miała być niewzbudzającym żadnych obaw zabiegiem chirurgicznym.

Niedawno prasa polska dokładnie referowała przebieg procesu przeciwko dwum znanym lekarzom o spowodowanie śmierci pacjentki podczas dokonywania operacji zmniejszenia biustu. I znów lekarze uspakajali rodzinę, że ta operacja, podjęta w celach estetycznych, bynajmniej nie grozi życiu.

Ktoś opowiadał nam, że pewnemu adwokatowi warszawskiemu, skarżącemu się na obluzowanie zębów, lekarz-dentysta wyjaśnił, iż pochodzi to z nacisku zbyt długiego języka na szczęki i że należy skrócić język. Po obcięciu języka adwokat musiał zaniechać praktyki: zamiast mowy z ust jego wydobywał się bełkot.

Takich operacji, mających na celu nie ratowanie życia, lecz usuwanie drobnych, nieszkodliwych usterek organicznych zdarza się ostatnio bardzo dużo. I kończą się one nazbyt często tragicznie.

Czyż chirurgja, która rozwinęła się w XX wieku nadzwyczajnie i zajęła pierwsze miejsce wśród nauk medycznych, nie stała się przypadkiem zbyt dufną w swą moc? Czy powodzenie nie uderzyło jej do głowy? Czy nie podejmuje się zanadto lekkomyślnie zadań niebezpiecznych?

Istotnie są wypadki, kiedy tylko lancet operatora może uratować od śmierci lub wiecznego kalectwa. Ryzyko jest tu konieczne. Ale czy warto narażać się na nie, gdy chodzi o usunięcie zawielkiego biustu lub zadługiego języka? Lepiej chyba żyć z temi defektami, niż umrzeć bez nich.

Demokratyzacja

(old.). Na skutek starań Tow. Wyścigów Konnych w Polsce Ministerstwo Rolnictwa pozwoliło na zniżkę stawki totalizatora z 10 na 5 zł. Dzięki tej reformie totalizator stanie się dostępny dla najszerszych mas.

Przed wojną najniższa stawka w Warszawie wynosiła 10 rubli, czyli — na dzisiejsze stosunki — około 50 złotych. Wychodzono z założenia, że na hazard mogą sobie pozwolić ludzie, którzy rozporządzają conajmniej taką kwotą. Dzisiaj czasy zdemokratyzowały się. Już 10 zł. okazuje się zbyt wysoką stawką. Należy umożliwić zgrywanie się w „totka" biedakom. Nie mają chleba — dać im przynajmniej emocję! Nie tanieje tramwaj ani cukier, niech chociaż totalizator będzie tańszy. Że więcej łez w domu popłynie i więcej rozegra się tragedji życiowych — to hodowli koni nic nie zaszkodzi. Najwyżej żonom i dzieciom.



— Co to? Manewry?
— Nie, to jadą sekwestratorzy.

(Le Rire)

Gwiazda - Strzała zbliża się do Ziemi i Słońca!

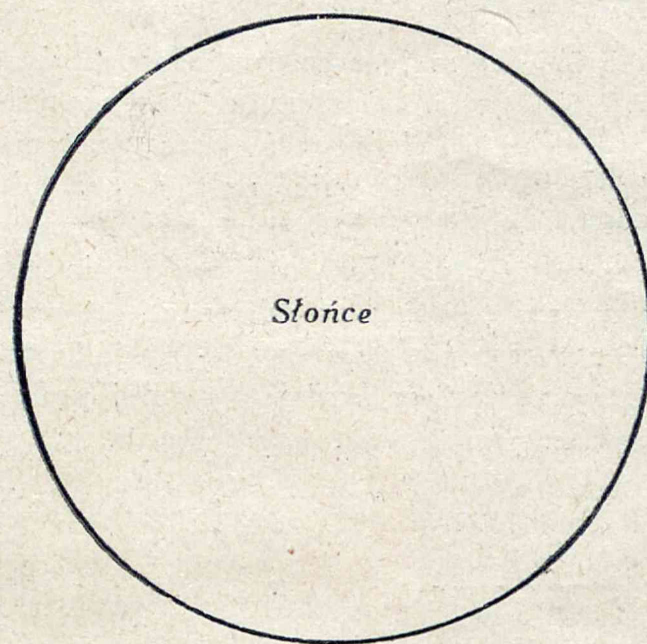
Jeszcze niedawno nasza wiedza o gwiazdach — mimo Kopernika i Newton'a — była, mówiąc szczerze, więcej niż skąpa. Znaliśmy dość dobrze nasz układ słoneczny, czyli rodzinę krążących dookoła Słońca planet. Wprawdzie i w tej dziedzinie raz po raz jeszcze astronomowie notują zdumiewające niespodzianki, jak naprz. w roku 1930-ym sensacyjne odkrycie dziewiątej wielkiej planety Plutona, trzeba jednak przyznać, że naogół na początku naszego stulecia egzamin z „planetoznawstwa" mogliśmy zdać przynajmniej na mizerną trójkę.

Gorzej, znacznie gorzej przedstawiała się nasza wiedza o tak zwanych gwiazdach stałych, czyli o tej olbrzymiej rzeszy świetlnych iskierek, które w pogodne noce codziennie ozdabiają firmament. W tej dziedzinie astronomji faktycznie największe, a przedewszystkiem najbardziej nawet podstawowe odkrycia dokonane zostały dopiero w dwudziestem stuleciu. Nauczyliśmy się mierzyć odległości gwiazd stałych, ważyć je, określać ich gęstość, a nawet odróżniać gwiazdy „stare" od gwiazd „młodych".

Postęp, jaki można w ostatnich latach zanotować w dziedzinie gwiazd stałych, jest naprawdę imponujący. Trzeba sobie bowiem zdawać sprawę z faktu, że — podczas gdy odległości na terenie naszego układu planetarnego nie przekraczają wartości kilku miljardów kilometrów, — od najbliższych naszych „sąsiadów" z świata gwiazd stałych dzieli nas kilkadziesiąt biljonów, to znaczy kilkadziesiąt tysięcy miljardów kilometrów!

Niezwykłym trudnościom odpowiadają obfite plony. Wśród tysięcy dobrze zbadanych gwiazd stałych znamy przedziwne objekty: gwiazdy kilkadziesiąt razy cięższe od naszego Słońca, gwiazdy-olbrzymy, w których wnętrzu Ziemia, a nawet i Mars swobodnie mogłyby zataczać swe roczne łuki dookoła Słońca, a także gwiazdy - karły, niewiele większe od Ziemi, składające się z materji gęstszej od platyny!

Kto w wieczór letni spojrzy na tło nieboskłonu, łatwo może odnaleźć kilka jasnych gwiazd, których odległość i absolutna siła świetlna jest nam znana. Załączona mapka południowej strony nieba ułatwi nam orjentację. Wysoko, prawie że w kierunku południowym świeci Arktur, gwiazda, której promień świetlny niedawno dokonał otwarcia Wystawy Światowej w Chicago. Dzieli nas od niej przestrzeń około 380 biljonów czyli 380 000 000 000 000 kilometrów! Dla porównania przypomnijmy sobie, że odległość Ziemi od Słońca wynosi „tylko" 150 000 000 kilometrów. Promień świetlny, który od Słońca do nas przybywa w ciągu 8 minut 20 sekund, wędruje z Arktura 40 lat poprzez przestrzenie wszechświata, zanim dotrze do nas i dlatego astronomowie wyrażają się, że Arktur jest od nas oddalony 40 lat światła. Arktur należy do gwiazd-olbrzymów. Je-



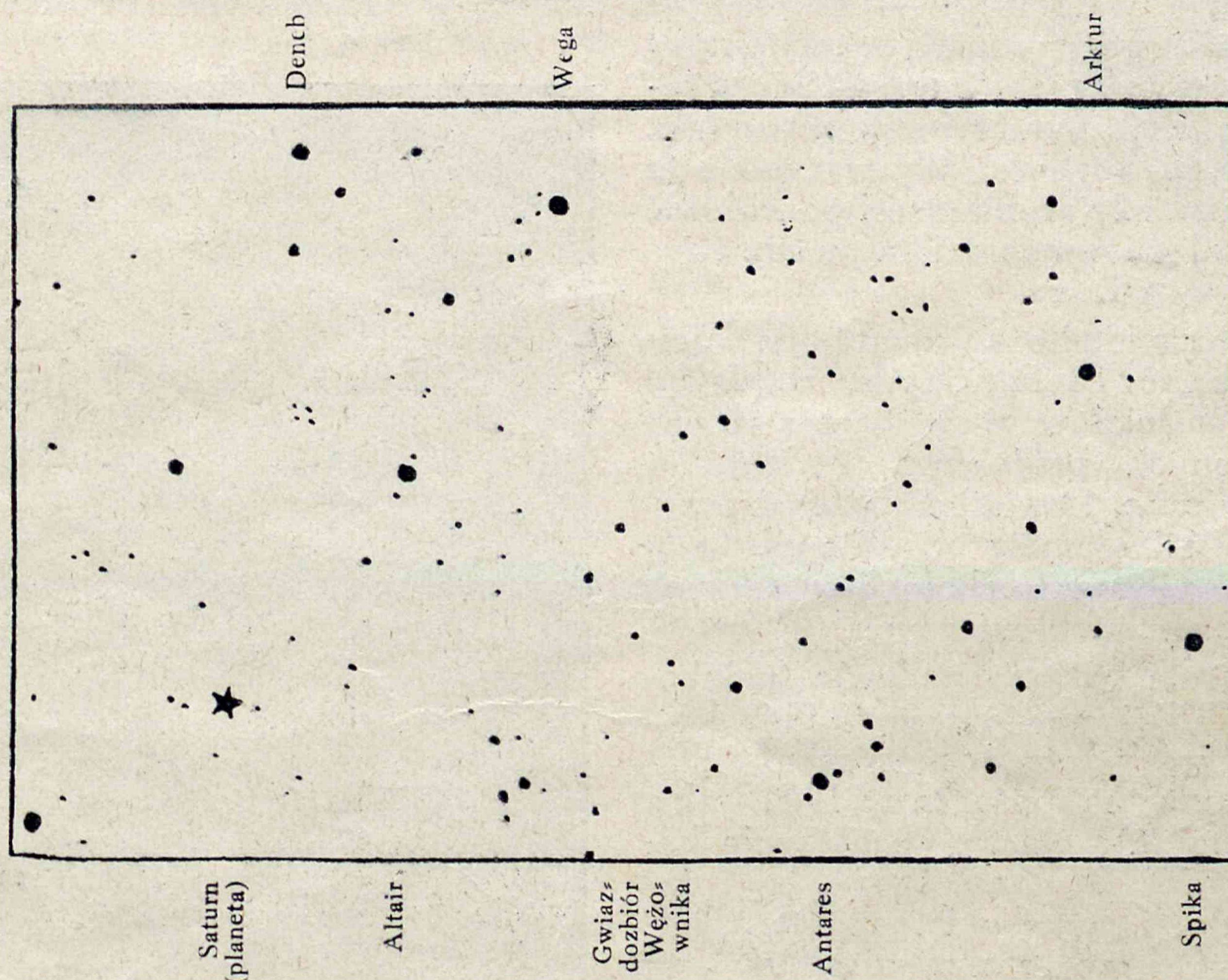
go siła promieniowania stokrotnie przewyższa siłę świetlną Słońca. Zmierzono również jego średnicę, mierzy ona 36 miljonów kilometrów!! Wszelako nie jest to jeszcze największy olbrzym wszechświata. Skierujmy wzrok nasz ku widnokręgowi, znajdziemy tam bardziej na lewo od Arktura większego od niego Antaresa. Średnica tego olbrzyma określona została na 650 miljonów kilometrów! Pod względem siły promieniowania Antares przewyższa 3400 razy nasze Słońce! 163 lata światła mierzy jego odległość od nas.

Nieco wyżej od Antaresa, na prawo świeci Spika, czyli tak zwany Kłos Panny. Około 200 lat światła, czyli 1900 biljonów kilometrów dzieli nas od tej gwiazdy. Jej siła promieniowania równa jest 1500-krotnej promieniotwórczości naszego Słońca. Rekord promieniowania wspomnianych trzech gwiazd bije jednak Deneb, również widoczny na naszej mapce. Trzebaby skupić światło 10 000 słońc, aby uzyskać siłę świetlną tego olbrzyma! Wega i Altair również większe są od naszej gwiazdy dnia, ustępują jednak znacznie wymienionym olbrzymom, bowiem „tylko" 50 względnie 9 słońc zrównoważyłoby już ich promieniotwórczość.

Oto olbrzymy naszego kosmicznego otoczenia. Nie brak jednak w przestrzeni wszechświata również i karłów, wobec których nasze Słońce, mierzące w średnicy „tylko" 1.390.600 kilometrów, jest gigantem. Wyjątkowo ciekawy karzeł gwiezdny znajduje się również na terenie letniego firmamentu. Został on odkryty w gwiazdozbiorze Wężownika, widocznym ponad Antaresem. Dla nieuzbrojonego w lunetę oka karzeł ten jest niestety niedostrzegalny.

Niezwykłe to ciało niebieskie odkryte zostało w roku 1916-ym przez amerykańskiego astronoma Barnard'a i odrazu zwróciło na siebie uwagę wyjątkowo prędkim ruchem postępowym w przestrzeni. Składowa ruchu gwiazdy Barnard'a w kierunku do nas wynosi 110 kilometrów na sekundę! Gwiazda-Strzała Barnard'a, jak ją wobec tego często nazywają gwiaździarze, znajduje się, jak na stosunki kosmiczne, w naszem najbliższem sąsiedztwie. 56 biljonów kilometrów wynosi jej odległość od nas, czyli niecałe 6 lat światła.

Rokrocznie zmniejsza się odległość Gwiazdy-Strzały od nas o 3 i pół miljarda kilometrów. Nie znaczy to jednak,



Południowa część nieba gwiaździstego, widziana u nas letnią porą roku bieżącego. Na terenie gwiazdozbioru Wężownika, znajduje się Gwiazda-Strzała

iżby miało kiedyś nastąpić zderzenie naszego układu słonecznego ze zbliżającą się do nas gwiazdą. Tor gwiazdy tworzy bowiem z prostą, łączącą ją z nami, kąt około 40 stopni łukowych. Za blisko 10 000 lat nastąpi więc maksymalne zbliżenie się Gwiazdy Barnard'a. Będzie ona wtedy od nas oddalona „tylko" 38 biljonów kilometrów.

Możnaby się obawiać, że takie zbliżenie grozić będzie poważnem „zakłóceniem miru domowego" na obszarze układu planetarnego. Wszelako takie obawy byłyby całkiem bezpodstawne. W tej bowiem odległości znajduje się obecnie układ gwiazdy podwójnej Alfa Centaura, jasno świecącego na firmamencie południowej półkuli ziemskiej. Składowe tego układu słonecznego są nawet każda z osobna większe od Słońca, a jednak przyciąganiem swem nie wywołują żadnych perturbacyj w ruchach planet. Trzeba jeszcze pamiętać, że wspomniana gwiazda jest karłem. Nasz rysunek przedstawia jej rozmiary w porównaniu z rozmiarami naszego Słońca. Gwiazda-Strzała objętościowo większa jest od planety Urana, lecz mniejsza od Saturna.

Pod jednym jeszcze względem Gwiazda Barnard'a zasługuje na specjalną uwagę. Jej prędki ruch postępowy świadczy, że nie należy ona do grupy gwiazd, do której również i nasze Słońce należy. Jest ona widocznie obcym przybyszem i po miljonach lat opuści nasz system gwiezdny — by jako samotny wędrowiec kosmiczny dalej pędzić poprzez przestworza wszechświata.

Dr. F. Burdecki

Zgon znakomitego architekta

W sędziwym wieku, bo po 76 latach pracowitego żywota, zmarł przed tygodniem w Warszawie Stefan Szyller, najznakomitszy architekt polski na przełomie XIX i XX wieku. Można śmiało powiedzieć, że nazwisko jego wypełnia sobą całą epokę w architekturze polskiej, epokę zresztą wysoce niepomyślną dla jej rozwoju. Brak własnej państwowości, ucisk obcy, który w budownictwie dał się odczuć niemniej, niż w innych dziedzinach, zanik smaku artystycznego, wyrażający się w tryumfie jednego z najbrzydszych stylów — „secesji wiedeńskiej" i w niewolniczem naśladownictwie zagranicy — szczególnie paraliżowały rozwój architektury w Polsce. Trzeba było wielkiego talentu i niezmordowanej pracy ś. p. Stefana Szyllera, aby wszystkie te przeszkody przełamać i pozostawić po sobie istotnie dzieła piękne i godne uwagi.

Już samą ilością muszą one zaimponować: Stefan Szyller zbudował 150 kościołów, w tej liczbie 46 wg. własnych projektów, 24 gmachy publiczne, 14 wielkich fabryk, przeszło 150 domów prywatnych, ogółem wykonał około 700 różnych prac architektonicznych.

A nie były to budowle tuzinkowe. Dość powiedzieć, że jego dziełem jest wieża Jasnogórska, odbudowana po pożarze w 1900 roku, ołtarz zewnętrzny na szczycie kaplicy M. B. Częstochowskiej z tarasami i schodami monumentalnemi, a także gruntowne odnowienie wnętrza kościoła, przywrócenie mu dawnych barwnych stiuków i urządzenie całego zewnętrznego otoczenia, jak to portali, bram, mostów, krużganków, piedestałów pod stacje Męki Pańskiej i t. d. Drugiem niemniej doniosłem jego dziełem było odrestaurowanie prastarej katedry płockiej, założonej w 1136 r., nieumiejętnie przebudowywanej w XVI-ym i XVIII-ym wiekach i w końcu XIX-go doprowadzonej do całkowitej niemal ruiny. Także kościół i klasztor w Czerwińsku nad Wisłą dzięki niemu uratowane zostały od zagłady. Z nowych kościołów, wzniesionych przez Stefana Szyllera, wymienić należy: w Dłutowie, w Jedlni, w Osiecku, w Druskienikach, w Sosnowcu; z powiększonych zaś i przekształconych: w Żarnowie, w Gródku na Podolu, w Abramowicach, w Radomiu — pobernardyński, w Kielcach — Ś-to-krzyski i t. d.



Ś. p. Stefan Szyller

Z budowli publicznych wykonanych przez ś. p. Stefana Szyllera, wyróżniają się: Bibljoteka Uniwersytecka w Warszawie, gmach Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, pawilon główny i fizyko-elektryczny Politechniki Warszawskiej, Dom Dochodowy Teatrów Miejskich przy ul. Trębackiej, wreszcie architektonika wiaduktu na ul. Karowej i mostu Poniatowskiego.

„Jednakże zasługi Stefana Szyllera sięgają głębiej, poza wartość artystyczną poszczególnych dzieł— pisał przed dwoma laty w „Świecie" architekt Wacław Moszkowski, — gdyż całą działalnością swoją, zarówno teoretyczną, jak praktyczną ugruntował u nas podstawowe założenie, że architektura nie może podlegać kaprysom przelotnej mody i kierunku, powstałych w odmiennych warunkach, że musi być organicznie związana z własnym terenem, z tradycjami i czerpać soki z własnych bogactw".

Te zasady uwiecznił Stefan Szyller zarówno w kamieniu, nadając swym budowlom cechy polskości, jak i w kilku publikacjach naukowych i popularyzatorskich, zapoczątkowujących naszą rodzimą literaturę w tej dziedzinie. Zwłaszcza jego świetnie zilustrowana i udokumentowana rozprawa p. t. „Czy mamy polską architekturę?", oraz praca „Tradycje budownictwa ludowego" wywarły wielki wpływ zarówno na nasze budownictwo, jak i na ustalenie terminologji polskiej. Udowadnia on, że architektura nasza ma swoisty charakter, który pochodzi z prastarej, sięgającej czasów przedhistorycznych ciesiołki, nieznanej u innych narodów i tworzącej czysto polskie bryły architektoniczne i odrębne zdobnictwo.

Za te niespożyte zasługi otrzymał ś. p. St. Szyller u schyłku życia krzyż oficerski orderu „Polonia Restituta" i nagrodę artystyczną m. st. Warszawy na rok 1931. Było to potwierdzeniem przez ojczyznę odznaczeń, któremi na progu karjery obdarzyła go Petersburska Akademja Sztuk Pięknych w postaci wielkiego złotego medalu, stypendjum na studja zagraniczne i zaszczytnego tytułu „akademika architektury".

Tak nagrodzono talent i benedyktyńską pracowitość wielkiego artysty. Ale niczem nie zdołanoby się odwdzięczyć mu za dobroć, uczynność, bezinteresowność, okazywane całe życie przez tego szlachetnego i prawego człowieka.

W. G.

„STEFEK" DEVALA W TEATRZE NOWYM



Samborski i Jerzy Roland



Marja Dulęba i J. Roland

Fot. Jan Malarski

Jakub Deval jest prawdziwie opatrznościowym dramaturgiem współczesnej Francji. Opatrznościowym, bo jednocząc typowo romańską pogodę ducha, galijski *ésprit* i przyrodzony francuzowi kult dla rzemiosła pisarskiego z wielce praktycznym zmysłem wyczucia upodobań publiczności dzisiejszej — daje przecież coś znacznie więcej, niż dobry, fachowo robiony teatr; — daje w ramach tego świetnego teatru odbicie prawdziwego życia, — a stwarzając wyborne naogół, często wręcz popisowe role dla aktorów — daje jednocześnie żywe, tętniące prawdą figury ludzkie, nie zaś sztampy aktorskie, jak to czyni wielu z jego głośniejszych i niesłusznie znakomitszych kolegów. Te zalety miała w dużym stopniu jego *Mademoiselle*, która była w ubiegającym sezonie największem powodzeniem nietylko Teatru Nowego, ale wślad za tym teatrem i wszystkich bez wyjątku scen całej Polski, — to samo w większym jeszcze stopniu posiada świeżo wystawiony *Etienne*. Poza jedną, jedyną — zresztą kapitalnie napisaną i szczerze zabawną — sceną aktu III-go, kiedy to wraz ze zdradzonym czterokrotnie „korsykaninem" Poustiano wkraczają na scenę echa typowo - francuskiego konwenansu rogaczowskiego — cała reszta tej dość obfitej i obficie wesołej, a jednocześnie wcale ważkiej komedji jest życiem, aż nadto prawdziwem, przyłapanem mistrzowskiem piórem dramaturga w komedjowem *flagranti*.

Ostatnie komedje Jakuba Devala są bezwątpienia ideałem tego, czego od teatru chce dziś współczesny inteligentny zjadacz teatru: umieją one w sposób przyjemny, niemal beztroski opowiadać rzeczy pożyteczne, poważne, dające wśród śmiechu i rozrywki — do myślenia. Mają one przytem coś, co czyni tryumf ich zupełniejszym, a zadowolenie widza-odbiorcy jeszcze większem: są mądre i czarujące.

Typem komedji mądrej i czarującej jest *Stefek* w stopniu jeszcze większym od *Mademoiselle*, to też tryumf tej „panienki rodzaju męskiego" był w Teatrze Nowym jeszcze większy i pełniejszy, niż jego fortunnej poprzedniczki.

„Stefka" interpretować można na różne sposoby: ultrarealistyczny, groteskowy, farsowy nawet — ale zdaje się najlepiej odpowiadać charakterowi tego utworu to ujęcie pośrednie, ten ton inteligentnego ściszenia, jaki mu nadał reżyser Zbigniew Ziembiński. Pod jego wnikliwą komendą — mądrą i czarującą komedję devalowską artyści Teatru Nowego zagrali pełnią serca i rozumu, dając jeden z piękniejszych i harmonijniejszych wieczorów teatralnych na przestrzeni całego dobiegającego sezonu. Wzruszającą i mądrą była skupiona gra Marji Dulęby, mistrzyni „krzyku milczenia", jak się któryś z krytyków obrazowo wyraził. Wdzięk szczerej bezpośredniości i skutecznego rozbawienia wniosły grą swoją: Gellówna, rozkoszna w swojej „stepowo-gruzińskiej" (ach, ta geografja francuzów!) *insanity* oraz żywiołowo komiczna „ciocia Walerja" (kuzynka literacka Juljasiewiczowej z Dulskich!) Janeckiej. Mniejsze zadania w pokrewnym rodzaju mieli: Hnydziński i Małkowski, ale spełnili je z wielką pasją i ku naszej szczerej zabawie. Samborski — któremu znowu stała się krzywda od wiecznie z niego niezadowolonej krytyki stołecznej (wyjątek tym razem: Tadeusz Boy-Żeleński) — dał majstersztyk mądrego obmyślenia wielkiej roli charakterystyczno-komicznej i nieomylnego bezmała jej wykonania. A zadanie nie było łatwe. Brawo! Maleńkie miał w tej proporcji, to też łatwiutko je uniósł — mimo swoją wagę — Jan Janusz, jako szef-gentleman.

Nakoniec — sam czar komedji i przedstawienia: Stefek i Henryka... Za jednym

kcmedjowym zamachem — dwie rewelacje wdzięku i talentów: większa Jerzego Rolanda (syna Teodorowego!) w większej, ba! poprostu wielkiej roli tytułowej, — i mniejsza w malutkiej, bynajmniej nie kajzerowskiej rólce zakochanej służącej — panny Zofji Kajzerówny...

W sumie: prześliczny, mądry, czarujący wieczór teatralny!

„Lekarz bezdomny" Antoniego Słonimskiego w Teatrze Kameralnym

Teatr Kameralny wznowił inteligentną sztukę Antoniego Słonimskiego „Lekarz bezdomny", którą przed trzema laty grał Teatr Mały.

Sztuka, utrzymana w tonie dowcipnego, dyskusyjnego feljetonu, zyskała raczej na aktualności. Wypadki ostatnie podkreśliły w życiu politycznem to, co Słonimski w swej sztuce ujmuje w formę ciętych, satyrycznych djalogów. To też publiczność reagowała bardzo żywo na pewne „pointy", przyjmując je wybuchami śmiechu i oklaskami przy otwartej scenie.

Karol Adwentowicz w roli głównej daje kreację głęboką, interesującą w każdym słowie, geście i spojrzeniu. Znakomity jest również Stanisław Daczyński. Marja Dąbrowska — jedna z najświetniejszych polskich charakterystycznych, daje postaci Wiktorji wewnętrzne ciepło i żywą plastykę wyrazu.

J. M.

„No! no! Nanette!" w Teatrze „8 m. 30"

Angielska operetka Youmansa „No! no! Nanette!" przybyła do Warszawy — poprzedzona szalonem powodzeniem w Londynie, Berlinie, Paryżu i innych wielkich stolicach.

W teatrze „8 m. 30" reżyser Zdzitowiecki wystawił „No! no! Nanette" z nasiloną rytmiką amerykańską, co dało przedstawieniu interesującą barwę, chociaż niektórych aktorów wykonawców, jak np. Tokarskiego, wpędziło w szarżę.

Ola Obarska wygląda, jak żywa amerykańska laleczka, tańczy świetnie i rozwija moc wdzięku — zwłaszcza w duecie z Wawrzkowiczem.

Kazimiera Skalska ujawniła duży temperament i czaruje urodą. W toaletach niezwykle efektownych — jest zjawiskiem uroczem na scenie. Helena Larys-Pawińska wnosi do operetki najlepszy ton komedjowy. Wojciech Ruszkowski — zawsze niezawodny. Wawrzkowicz śpiewa pięknie. W komicznym epizodzie wyróżnia się Zarembina.

Na specjalne uznanie zasługuje strona choreograficzna, opracowana pomysłowo i precyzyjnie przez Trojanowskiego.

J. M.

W kilku wierszach

Maks Reinhardt w Warszawie?

Wiedeński *Newes Wiener Journal* notuje sensacyjną wiadomość, jakoby miasto Warszawa zwróciło się do Maksa Reinhardta, proponując znakomitemu reżyserowi zamieszkanie na stałe w Polsce. Według tej samej informacji Uniwersytet Warszawski miał zaproponować Reinhardtowi katedrę.

Wszechsłowiańskie przedstawienie

W Bratysławie z okazji zjazdu prawników słowiańskich odbyło się uroczyste przedstawienie opery Smetany *„Sprzedana narzeczona"*, w której wszystkie główne partje obsadzone były przez artystów różnych narodowości słowiańskich. Rolę tytułową śpiewała znakomita nasza primadonna Ewa Turska-Bandrowska, główną partję męską — znany śpiewak bułgarski Rajczew. Przedstawienie cieszyło się ogromnem powodzeniem.

„Otello" Szekspira w pałacu Dożów

W Wenecji zawiązało się specjalne konsorcjum, które zamierza jeszcze w roku bieżącym zrealizować projekt dania szeregu przedstawień szekspirowskiego „Otella" w specjalnie na ten cel zaadoptowanych fragmentach gmachu Pałacu Dożów na Placu Św. Marka. Między innemi część akcji odbywałaby się na słynnych *scala dei Giganti*. Inscenizacja i reżyserja tragedji szekspirowskiej powierzona ma być znanemu reżyserowi rosyjskiemu Szarowowi, a wykonawcami ról ważniejszych będą najznakomitsi współcześni aktorzy włoscy.

„Teatr Okrucieństwa" w Paryżu

Stolica świata ma mało jednego „Grand Guignol'u". (Nawiasem mówiąc, ten „oficjalny" teatr „okropności" gra obecnie zgoła łagodny, wręcz sentymentalny reportaż z „wesołego domu": *Maison des confidences* Henryka Duvernois...). W niezadługim już czasie ma powstać nowy teatr tego typu p. n. *Théâtre de la Cruauté*, o założeniach głębszych i dalej idących. Będzie to teatr eksperymentalny, przeznaczony dla odtwarzania gwałtownych form życia. Teatr ten wystawiać będzie wielkie udramatyzowane i uwspółcześnione mity, sięgając do najstarszych tekstów kosmogonii hinduskiej, irańskiej, azteckiej.

Ś. p. prof. WINCENTY DRABIK

Przed kilku dniami zmarł nagle w Warszawie bezpośrednio po niefortunnej operacji dentystycznej, wynikiem której zajęła się prokuratura, jeden z najwybitniejszych artystów - dekoratorów, prof. Wincenty Drabik, przeżywszy zaledwie 52 lata. Śmierć ta wywołała silne wrażenie w kołach artystyczno-teatralnych, w których prof. Drabik cieszył się wielką sympatją dla wybitnego talentu i osobistych zalet charakteru.

Urodzony w r. 1881 w Katowicach, po studjach malarskich w Wiedniu i Krakowie, gdzie był uczniem Fałata i Wyspiańskiego, rozpoczął karjerę w krakowskim teatrze ludowym, jako „popychadło" głównego dekoratora, tapicera z zawodu. Wkrótce jednak zwrócił na siebie uwagę, zwłaszcza dekoracjami do „Betlejem Polskiego" i został zaangażowany do Lwowa przez dekoratora teatrów miejskich Śliwińskiego, znajdując w jego pracowniach odpowiednie miejsce do pracy i rozwoju nieprzeciętnego talentu.

Od r. 1912 Drabik przenosi się na stałe do Warszawy, jako naczelny dekorator Teatru Polskiego, zdobywając kompozycjami swemi rozgłos nietylko w Polsce, lecz i zagranicą. Po wybuchu wojny, jako poddany niemiecki, przebywał jakiś czas w Samarze, a potem pracował w teatrach polskich w Moskwie i Kijowie.



Wincenty Drabik

Powróciwszy do Warszawy w 1918 r., przed dwa sezony jeszcze był naczelnym dekoratorem w Teatrze Polskim, a następnie przeniósł się na to samo stanowisko do teatrów miejskich. Następnie pozostawał w kontakcie ze zrzeszeniem Opery, a pozatem opracowywał inscenizację „Fausta", oraz kilku tragedji Wyspiańskiego. Udając się na operację, po której miała nastąpić rekonwalescencja w szpitalu, zabrał ze sobą wszystkie szkice, chcąc pracować nad niemi. Na nadchodzący sezon zamierzał podpisać kontrakt z dyrekcją b. teatrów miejskich.

Przed trzema laty został mianowany profesorem warszawskiej Akademji Sztuk Pięknych, w której prowadził dział sztuki dekoracyjnej; projektował również stworzenie klasy dekoracyjnej w Szkole Dramatycznej.

Cały szereg arcydzieł scenicznych zawdzięcza prof. Drabikowi wspaniałą oprawę. Z licznych jego prac wymienić należy dekoracje do „Nieboskiej Komedji", „Don Juana", „Miłosierdzia", „Pana Twardowskiego", gigantyczne kompozycje do „Legjonu", „Nocy Listopadowej", wreszcie inscenizację komedji „Mieszczanin — szlachcicem".

Prof. Drabik specjalnie interesował się sztuką ludową i religijną w zastosowaniu dla sceny. Wyrazem tego były niezwykle ciekawie skomponowane dekoracje do „Szopki staropolskiej".

W historji polskiej sztuki dekoracyjnej prof. Drabik zajął jedno z czołowych miejsc, a zgon jego jest niepowetowaną stratą dla naszych scen.

J. W.

PARISIANA

„Uroczysty" skandal w Komedji Francuskiej czyli widowisko pożegnalne Cecylji Sorel.

Znakomita i zasłużona artystka Pierwszego Teatru Francuskiego, „sława Francji", Cecylja Sorel „z Komedji Francuskiej", zgłosiła jak wiadomo swoje wystąpienie z grona „Stowarzyszonych". W takim wypadku jest w zwyczaju w Domu Moljera, iż — ustępujący (a) otrzymuje do swojej całkowitej dyspozycji i na swój wyłączny dochód jedno przedstawienie wieczorowe celem urządzenia tak zwanego „spektaklu pożegnalnego" — z programem ułożonym specjalnie według swojej woli i upodobań. Madame Sorel, ku przerażeniu bezsilnego kierownictwa Komedji, a ku niemniejszemu zgorszeniu kolegów stowarzyszonych, „opracowała" program zarówno niezwykle obfity (cztery wielkie części programu a po programie — bal), jak — ekscentryczny. Tak ekscentryczny, że pisma paryskie niebardzo chciały o nim pisać, a *tout Paris* przez dłuższy czas o niczem innem nie mówił... Oto artystka zdecydowała wystąpić jednego wieczora w trzech swoich najgłośniejszych rolach, odgrywając po jednym pełnym akcie z „*Mizantropa*" Moljera, „*Awanturnicy*" Augier'a i — oczywiście! — „*Damy Kameljowej*" Dumas'a. Oprócz tych trzech pełnych aktów poleciła artystka odegrać na początek jednoaktówkę „*Poeci*", a między drugim swoim występem a trzecim — cały jeden akt opery: „*Pelleas i Melisanda*" Debussy'ego. Razem — pięć aktów. Ale to jeszcze nie cała obfitość programu! Każdy z tych pięciu wielkich numerów poprzedzony był lub zakończony solowemi występami, do których artystka zaprosiła kilkunastu artystów o najgłośniejszych nazwiskach światowych, a wśród nich trzy autentyczne cudzoziemskie sławy pierwszej jakości: rosjanina *Szaljapina*, niemkę Marlenę Dietrich (sic!) — znakomita gwiazda ekranu zanim została sławą filmową występowała przecież w Berlinie jako subretka w operetkach — oraz komika włoskiego *Petroliniego*. Nadto: znakomitą primaballerinę wiedeńską *Tilly Lösch* i świetnego tancerza z rosyjskiego baletu *Sergjusza Lifara*. Ale to jeszcze nie wszystko. Oprócz zagranicznych wystąpić miał szereg znakomitości lokalnych również niebylejakiej marki, a więc: popularny komik paryski *Dranem*, słynni aktorzy teatrów bulwarowych: *Max Dearly, Harry Baur, Wiktor Boucher*, pierwszy tenor Wielkiej Opery *Jerzy Thill*, zespół baletowy z Opery Komicznej i t. d. I to jeszcze nie wszystko. Pani Sorel nie wystarczali sami artyści, więc: aktorzy, śpiewacy, tancerze — zapragnęła jeszcze mieć na swem święcie głośności „cywilne"; — w tym celu zaprosiła do statystowania na balu w „Damie Kameljowej" słynną lotniczkę *Marise Hilfsz* oraz mistrza boksu — *Charpentiera*. A do *conferencier*'owania na tym jedynym w swoim rodzaju i zapewne jedynym w historji Komedji Francuskiej *monstre* widowisku powołała popularnego *chansonier* z Montmartre'u p. *René Dorin*... I dziwić się, że dochód kasowy z tego „Zjazdu gwiazd" w Komedji Francuskiej wyniósł zgórą 300 tysięcy franków! Było czem otrzeć łzy pożegnania... Ale największą może sensacją — przynajmniej dla sfer towarzyskich Paryża — był występ w jednej z ważnych ról w „Awanturnicy" męża artystki, prawdziwego hrabiego — de Ségur — który na żądanie swej znakomitej małżonki ukazuje się po raz pierwszy w życiu na prawdziwej (i to jakiej odrazu!) scenie... I niewiadomo, co mogło być powodem większego zmartwienia Dyrekcji Komedji a silniejszej irytacji stowarzyszonych: występ na scenie Pierwszego Teatru Francji autentycznej niemki — śpiewaczki, śpiewającej po niemiecku, czy grającego po francusku autentycznego aktoramatora?

A teraz szczegół najpikantniejszy. Pani Cecylja Sorel po tem „gigantycznem" pożegnaniu nie opuszcza bynajmniej sceny i nie usuwa się „w zacisze domowe" rodowego zamku Ségurów, wprost z Domu Moljera przechodzi od jesieni do... *Casino de Paris*, gdzie w najświeższej rewji występować ma jednego wieczora w kilku specjalnie dla ...sięcioletniej *vedetty* napisanych skeczach pióra Sachy Guittry'ego, Savoira, Bernsteina i innych... *Voilà Paris!*



Cecylja Sorel i jej mąż hr. Wilhelm de Ségur w „Awanturnicy"

Humor teatralny

„KOKOTA Z DOBREGO DOMU".

(m.). Jedna z młodych aktorek otrzymała w nowej sztuce rolę dziewczyny ulicznej, zwierza się tedy koleżance.

— Moja droga, ja tej roli przyjąć nie mogę, bo mam narzeczonego hrabiego... Żeby jeszcze kokotę z dobrego domu — to bym zagrała...

GAŻA I POGODA.

(m.). Rzecz dzieje się w lipcu za kulisami jednego z teatrów, gdzie od szeregu miesięcy gaże wypłacane są bardzo nieregularnie.

— W tym roku niema zupełnie lata — mówi jakiś aktor.

— A jak stoisz z gażą? — zapytuje kolega.

— Właśnie kończą wypłacać za marzec.

— To o co chodzi?... Pogoda jak na marzec — wcale niezła.

ŚPIEW PRZEZ RADJO



J. Gluzińska-Makuszyńska, której recital śpiewaczy dnia 4 lipca w Polskiem Radjo stał się świetnym popisem najwyższej klasy artyzmu i kultury śpiewu

TEATRY MIEJSKIE W WARSZAWIE

TEATR NARODOWY

Sensacyjna sztuka w 8 obrazach Władysława Fodora

„Pocałunek przed lustrem"

Marja Gorczyńska, Wojciech Brydziński, Gust. Buszyński, H. Różańska, A. Socha

TEATR NOWY

„STEFEK"

J. Deval'a

Marja Dulęba, Gellówna, Janecka, Kajzerówna, Samborski, Jerzy Roland, Hnydziński, Małkowski, Janusz

TEATR LETNI

„TEN STARY WARJAT"

komedja Stefana Kiedrzyńskiego

Mila Kamińska, H. Peszyńska, Z. Nakoneczna, Antoni Fertner, Jan Kurnakowicz, Józef Orwid, Dominiak, Michalak, Zejdowski, Tomasik

Prenumeratorom, którzy w ciągu najbliższego tygodnia nie uiszczą prenumeraty za miesiąc lipiec, wstrzymana będzie wysyłka pisma

Raid parasolowy

Były raidy wielodniowe przez Wilno, Brody, Lwów, Kraków, Łódź, Gdynię. Były raidy gwiaździste — codzień z Warszawy w inną stronę — do Gdyni, Wilna, Poznania czy Krakowa i z powrotem. Były takie wspaniałe całotygodniowe walki samochodowe, podczas których Druskieniki, Krynica, Zakopane i Kaszubska Szwajcarja, mijane w szalonym pędzie, pozostawiały uczestnikom jakieś dziwne wspomnienie — piękne i niepełne zarazem — jakąś automobilową czy krajoznawczą rozkosz niedosytu. Były bezdroża poleskie i białoruskie; były białe od kurzu gościńce Małopolski wschodniej; były pięknie oznaczone drzewami i słupami szosy wielkopolskie; były szerokie, brukowane wśród powojennych pustkowi gościńce wschodu; były asfalty Śląska i serpentyny nad Prutem, ku Morskiemu Oku, pod Tyrawą Wołoską. Były objazdy wśród łąk nadbużańskich — i krążenia mazurskie pośród rannych mgieł, sunących z ponad jezior — i koncerty słowicze nad wodami Gródka Jagiellońskiego —i malownicze wiraże doliny Prądnika— i dymiące łódzkie kominy — i szampan mrożony poznańskiego Bazaru—i różowe kwiaty, i lasy, i sitowia wokoło zamku Nieświeża — i niespodziewane spotkania — i przygody, dziejące się — jedna po drugiej — między Bałtykiem a Prutem, Tatrami — a puszczą litewską — przygody w smaku niezrównane, życie w tempie 700 klm. na dobę. Była ta Polska automobilisty wielka i piękna; a raidy wspaniałe — przez swój rozmach olbrzymi, przez frekwencję ogromną, przez — wszystko. Były czasy — przedkryzysowe.

Dziś — inaczej: skromnie — jednodniowo — do Radomia — i z powrotem... pod parasolem...

Trudno. Trzeba w tym jednym dniu zmieścić ambicje większe, nadzieje sportowe — bogate, emocji zaś jaknajwięcej. Jedziemy!

*

Zbiórka przed Automobilklubem wypada rankiem o deszczu, który zamienia się rychło w ulewę. Przyniosłem ze sobą przyćmioną wrażliwość, rodzaj melancholijki: może to deszcz tak wpływa? albo znów się zakochałem? A może poprostu trzeba zapalić mocnego papierosa? Stoję i patrzę: wszystko — jak dawniej — w porządku. Jest Liefeldt, poważny i skupiony (o niebieski, cudownie lekki Austro-Daimlerze, na którym mknąłeś jak ptak!). Jest Potocki: zwykła z nim wyprawa jedzie — zapasowe auto z mechanikiem, bufetem, parasolem i Bóg wie nie czem. Teraz przypominam sobie pana Morysia, jak w Łodzi, spocony, wściekły i zziajany zmienia w Voisin'ie opony, zdarte do cna. Ten Voisin: jechałem nim do Gdyni — okropnie pędził, wielki i ciężki smok, olbrzymia furja stu — czy ileś tam konna.

Dla kontrastu jedzie dziś Potocki na malutkiem, wściekle ryczącem wyścigowem Bugatti. Właśnie tam — to straszliwe cacko o chyżości 170 klm. na godz. — schowane jest prawie całe pod zwyczajnym parasolem.

Bo ulewa zamienia się tymczasem w potop...

No i są wszyscy inni — w białych czapkach, cyklistówkach, beretach, czapkach narciarskich — nawiasem mówiąc bardzo wygodnych do kierownicy. Niezapomniany ze swej regularnej jazdy na malutkiej Tatrze — Witold Rychter — vel instruktor lotniczy — vel egzaminator kierowców — vel król motocyklistów — vel uniwersalny ekspert mechaniczny. Prezes Regulski, wykwintny afrykańczyk, kinooperator — amator, siła i światło Automobilklubu. Komandor zapasów dzisiejszych inż. Zeydowski, o oczach przenikliwych, niczem żółty reflektor przeciwmgielny, o sercu niezawodnem, jak wyregulowany karburator. Dalej gospodarz Borman, bardzo, bardzo smutny, bo część gospodarcza niewiele w tym jednodniowym raidzie znaczy; pewnie ma w kieszeni miętówki, taki zawsze przecież uczynny i chętny. Oto Siemiątkowski, jeszcze bardziej chudy i jeszcze trochę wyrósł, poklepuje z góry swoje malutkie Fiaty: a jak on się w nich zmieści? I cała reszta: rozbawiona pani de Laveau (wielka amatorka pstrągów) i pełen ponurych przeczuć Dzierliński (pewnie wygra wyścig) i rwący oczy Żochowski (na którego lubią z duktów leśnych wychodzić księże bryczki) i właściciel premjowanego Packarda p. Apfelbaum (marzący o upolowaniu na szosie srebrnego lisa) i Chełmicki (kibic nad kibicami!) i Tosio Sielecki, srogi w bridge'u (jeśli ma w karcie cztery asy i cztery króle) i z niewinną miną inż. Łepkowski (napewno coś obmyślił, żeby jego wozy wygrały) i zawzięty Dajzenberg (specjalista od wszelakich ryzykownych skrętów) i urocze panie, o których nie śmiem pisać — i sędzia Grabiński — o którym ledwie śmiem wspominać (bo to on sądzi sprawy samochodowe) i tak dalej... I — na końcu — niżej podpisany — z ową swoją melankolją i tą gwiazdą fatalną człeka, który musi coś przeżyć, żeby pisać i musi coś pisać — żeby przeżyć..

Co to — sygnał? Zajmujemy miejsca. Na start!

*

Bezszumnie płynie 12-stocylindrowy Packard. Przy nagłych zrywach — mały zawrót głowy — nic więcej. Nie słychać silnika, nie słychać biegów.

Wyją dyskretnie oba Delage'e, brzękliwie huczą Daimlery, pracowicie warczą Citroeny, Fiaty i cała reszta.

I zahłystują się wrzaskiem, alarmem, szybkoobrotowym rabanem obie maszyny Bugatti.

Kołyszą się zielone, nasiąkłe wilgocią łany, kołysze się słońce z za pędzących chmur, kołyszą się przydrożne domy, opada miarowo w dół i w górę — wstążka szosy przed nami.

*

Kilometre arreté! Zryw! Setka! Sto pięćdziesiąt na godzinę. Głucho milczymy. Ręce Rychtera walczą z kierownicą. Nadlatuje meta. Zwalniamy.

Pięć prób szybkości maksymalnej z zatrzymaniem się co kilometr na białej linji, tak, żeby wypadła między przednią a tylną parą kół. Pięć zrywów, od których wciskamy się w oparcia; pięć hamowań — przy których kłaniamy się uprzejmie odległym horyzontom. Pięć prób silnika, hamulców, umiejętności kierowcy i nerwów całej załogi.

Nikt nie śmie się nawet odezwać — z obawy, żeby Rychter nie odpowiedział... Nie chodzi o to, że zbeszta. Niech lepiej on uważa na drogę...

Wreszcie start do raidu. Tu zaczynają się rozmowy.

*

— Zaciął mi się pierwszy bieg.

— No to ruszaj z drugiego.

— Co tam było z tym Delage'em?

— A no — stał...

— Po linji — czy przed linją?

— Stał między linjami. — Trzy lata temu, na raidzie...

*

Pędzimy, pilnując wyznaczonej średniej szybkości, uważając na punkty kontrolne. Co dwie minuty przez wsie i miasteczka przelatuje raidowa maszyna. Co kwadrans zlewa nas deszcz. Co półgodziny palimy papierosy. Wycieczka staje się nudna.

Wtem — sensacja. Za Nowem Miastem — jakiś objazd, długie kilometry złej drogi, błoto, maź, spóźnienie. Trzeba nagwałt nadrobić 2 minuty. Maszyna rozpędza się i zaczyna chodzić po wybojach. Fontanny wody pędzą wraz z nami.

...I z pod chaty wychodzi sobie *kobieta*. Patrzy na nas, potem na drugą stronę szosy, gdzie idą sznureczkiem gęsi. Gdy nadlatujemy całą masą 2½ packardowskich tonn w tempie wyścigu — ona nie decyduje się jeszcze na nic. Trwa to sekundy: moja obserwacja i jej niewieścia rachuba. Oto podły domowy ptak wyłazi pod maszynę. Już po nim. Ale kobieca logika jest swoista: gęś przejadą, a mnie — będą się bali.

I ta kobieta — na parę metrów przed nami — wpada na drogę.

Jest już zapóźno na wszystko. Jest albo po niej, albo po nas, albo — po wszystkich.

Zaczyna się krótki dramacik...

Rychter wziął kierownicę w prawo. Wyszliśmy natychmiast z kursu i pojechaliśmy lewym bokiem po błotnej mazi. Rychter wziął teraz w lewo: ocalił w ten sposób po raz drugi kobietę, nie uderzając jej tyłem maszyny. Pomknęliśmy teraz błyskawicznie: bokiem jednym i drugim, tyłem, w chałupę na prawo, w drzewko na lewo, trawersem, hiszpańskim krokiem, galopa, dęba...

Potem zrobiliśmy rewerans „tyłem do publiczności" — niczem początkująca primadonna, potem ścięliśmy słupek, potem nastąpiła krótka karuzela...

— Może zmienimy się miejscami? — proponuję panu A., który siedzi względnie bezpiecznie, bo w środku — między mną a mechanikiem.

Ale głos mam ochrypły. I nikt nie odpowiada na tę niewczesną propozycję.

W milczeniu i rezygnacji patrzyliśmy na lewy rów.

Ło-mmot!

— — — — — — — — — — — — —

— Ocalił nas ten głaz, który wywaliliśmy stopniem — mówi mechanik.

Lękliwie i niepewnie wyjeżdżamy z rowu.

— Gazu!—krzyczy Wędrychowski, chluba lotniczych warsztatów na Okęciu, skąd wychodzą R. W. D. — Gazu — jeszcze zdążymy!

— Ile minut opóźnienia? — pyta blady Rychter.

— Trzy i pół.

Pędzimy więc... maszyna cała... lekko tylko pochylona...

— Ale — żeby ją wszyscy djabli — wspomina Wędrychowski kobietę — tak, pod samochód, lecieć z powodu kaczki...

— Gęsi! — poprawia wściekle Rychter.

— Kaczki! to była kaczka!—upiera się zażarcie Wędrychowski.

Odzyskujemy werwę. Głosy się dzielą. Ta gęś miała kształt kaczki. Ta kaczka miała gęsi pióra. Ta kobieta — niechże ją kopnie kaczkogęś!

*

W Radomiu ścisk, tłum, obiad, apetyty, relacje, trzy małe wódki i trzy duże deszcze, start, próba wytrzymałości na złym odcinku, próba skoków przez tuzin progów mostkowych...

Wreszcie asfalt, cement, koniec dnia, znów deszcz, defilada przez miasto, klub, obliczanie punktów karnych i dyskusja gorąca — komu też przypadnie nagroda pocieszenia — butelka starego miodu? Ma dostać ją ten, który miał w drodze największego pecha.

Wszyscy stawiają swoje kandydatury. Wszyscy zawzięcie dyskutują. Ja jeden skromnie milczę. Bo co tu mówić o jakichś drobnych pechach...

Ta *kobieta*, wpadając pod samochód — leciała przecież na mnie...

Więc komu należy się stuletnia butla pocieszenia?

Stanisław Strumph Wojtkiewicz.



Zbiórka samochodów przed Automobilklubem Polski w Warszawie Fot. Jan Ryś



Przymusowy postój wśród pól, wskutek reparacji szosy



Hr. Maurycy Potocki wzbudzał sensację na ulicach Radomia. Fot. Rosenmann

F. T. MARINETTI

Logika Beja Achmeda

(Z cyklu nowel o malowanych ustach)

Poznałem beja Achmeda w Adrianopolu podczas pierwszej wojny bałkańskiej w 1912 roku w tragicznej i nieszczęsnej chwili jego życia, jako dyplomaty, przywiązanego do Stambułu i nieprzekonanego o jego fatalnym upadku.

Wkroczyłem do bohaterskiego miasta przez bramy Kaiku 26 marca o 7-ej rano, razem ze zwycięską kawalerją bułgarską i pod kraczącym chyżym pułapem tłustych kruków.

O zmierzchu wypuszczałem się poza tę bramę, pchany namiętnością do skamieniałego szaleństwa obrazów wojennych. Prowadziły mnie spiralne kolumny iskier płonących przedmieść.

Wśród zaduchu i pośród bezładu obszarpanych zwycięzców, szkieletowatych jeńców, bawołów i wozów ugrzęzłych, nawet ciemności napastnicze, nawet one łupiły te chałupiska steroryzowane bez gazu i bez nafty. I tylko zielone minarety meczetu paszy Selima nie przestawały rzucać wzwyż swych rozległych błękitnych pozdrowień uwielbianemu Bosforowi. W roztargnieniu skierowałem się wklęsłą ścieżką przekleństw, gnoju i zgniłych odpadków, która wrzynała się pomiędzy dwa pagórki cuchnące od koni konających i ścierwa śmierdzącego. Było tu trzy tysiące czworonogów, które generał Sciueri pasza, dławiony oblężeniem, oddał na pastwę karabinów maszynowych, aby zmniejszyć głód i pragnienie twierdzy. Chciałem się cofnąć, ale bałem się zbłądzić, podczas gdy dymiące zgliszcza twierdzy Sceitam-Tepe, które widziałem przed sobą o sto kroków, pozwalały mi się orjentować.

Pod jedynym pozostałym łukiem bramy portu jakiś turek siedział w kuczki. Płakał. U jego nóg, w półmroku, kształt i zaduch trupa. Z obciętą głową. Na mój widok turek drgnął i dwoje zielonych inteligentnych oczu podniosło się na mnie z płaczącym głosem:

— To mój brat. Pracowałem dwie godziny, aby wydobyć z pod gruzów nienaruszone jego biedne ciało. Nie znalazłem głowy. O tak pragnąłem uściskać go poraz ostatni!

Długie milczenie. Wyjący djalog psów w oddali. Zawalenie się belki. Szelest kurzu. Gryzący dym. Turek zaczyna mówić znowu:

— Czy zechce pan mi pomóc i przenieść go do małego meczetu nad brzegiem strumyka?

Pomogłem mu. Ważyła dużo ta martwa muskulatura atletyczna, która czepiała się rumowisk, jakby szukając śmiertelnego dołu. Smród. Skrzek wymiotów. Przy zębach zaciśniętych. Potknięcie się. Stój. Złapać znów oddech. Dalej! Psiakrew! Niechcący rozdeptałem nozdrza jakiegoś konającego konia z wybebeszonym brzuchem. Zdechł pod mojemi zlodowaciałemi nogami, rozedrgane bezmierne rżenie rozdarło noc, szukając z pomrukiem Boga.

— Dwadzieścia pięć lat! Rozumie pan! Był taki dzielny! I taki ładny chłopak!

W podwórzu meczetu turek wcisnął mi do ręki swój bilet wizytowy, mówiąc:

— Bej Achmed, Stambuł. Mam nadzieję, że jeszcze pana zobaczę. Nigdy nie zapomnę tego, co pan dla mnie uczynił. Ale niech pan wraca prędko do miasta. Patrole bułgarskie nie są zbyt uprzejme. Będę czuwać sam nad moim biednym bratem. Już wiem, gdzie go jutro pochowam obrzędowo.

* * *

Po piętnastu latach przy stole podczas obiadu na transatlantyku „Massilii", między Santos a Rio de Janeiro, zobaczyłem przed sobą, ale nie poznałem, człowieka, który mimo swego normalnego wyglądu tworzył kontrast z promiennym optymizmem podróży morskiej, przez swą aureolę tajemnicy straszliwej, nieomal widocznej. Przypomniałem go sobie wówczas, kiedy jego głos wyskandował z wdziękiem te słowa:

— Andrinopol 1912, Fort Sceittam-Tepè.

Błyskawiczna sympatja zawiązała się na nowo. Wysoki, elegancki, silny czterdziestoletni mężczyzna. Twarz okrągła, trochę za tłusta, ale nie pospolita, cyzelowana. Oczy zielone inteligentne i męskie walczyły ze zmysłową miękkością ust. Roznamiętniony do literatury, przejawiał wobec mnie marzycielskie upojenie liryczne w określaniu potęgi architektonicznej wybrzeża górskiego, wzdłuż którego „Massilie" płynęła. Opowiadał o rodzinie swej siostry, oczekującej go w Rio, ale głos mu się zmienił nie do wytłumaczenia, gdy mówił mi:

— Czy pan wierzy temu, co się opowiada o zatoce w Rio? Naprawdę jest tak piękna? Mojem zdaniem, dużo w tem blagi! Myślę, że nic na świecie nie może dorównać czarowi zachodów słońca w Pera! Dobranoc! Jutro o świcie ustalimy swe pojęcia o cudzie - cudów świata!...

* * *

Świt. Na pomoście kapitana „Massilii" z bejem Achmedem.

Rozumiem odrazu, że się wcale nie kładł. Usiłuje stłumić i pokryć częstemi uśmiechami rozpaczliwe, wzrastające przerażenie.

Teraz okręt upojony przerzyna czarną liną dziobu rozległe półkole fijołkowego oceanu. Przerzyna wyżej rozległe półkole zarysów gór, czarnych, rozzłoszczonych, z ogniami różanemi biwaków już czerwieniejących, źle ukrytych za zębami piły dalekich wierzchołków. Jeszcze wyżej okręt przerzyna rozległe półkole zielonego nieba całego w szmaragdach i papugach jaskrawych, zapewne śnione przez dzieci murzyńskie, bawiące się pod bambusami. Okręt przerzyna jeszcze wyżej rozległe półkole obłoków złocisto-gorących, i jeszcze, jeszcze wyżej rozległe półkole nieba o barwie błękitu Madonny.

Ekstaza. Dziewiczość. Radość wniknięcia w pieszczotliwość cielesną zatoki.

Później okręt nawleka obrębek zenitu obłoczków blado-złocistych, który staje się aureolą chwiejącą najmniejszego masztu. Okręt sunie naprzód, wlokąc za soba, jak oblubienica roztargniona, wszystkie te wstęgi, welony i szarfy oceanu i nieba, które owiązują jego szeroką pierś od dziobu do wierzchołka masztu. Po naszej lewej stronie Pan de Asucar roztacza swój garb niezmierny, tylko co wynurzony z potopu. Ściga go inna góra garbata, Coreovado.

Przed dziobem niebo, poszarpane przez góry, rozpęka i rozłupuje się z różowiejącym entuzjazmem. A tam dalej: ten mistyczny piec zamknięty oddycha przez szpary szkarłatne taką wonią, że rozpachnia całą atmosferę.

Wtem kaskada płynna żużli wysuwa się z za krańca łańcucha górskiego, i rzutem scenograficznym zmienia swoją fijołkowość w posrebrzany chłodny błękit. Kołysanie się — świsty, szczebioty i skrzypienie lin dziecięcych, które zawierają duszę wróbli lub może wołają je z daleka.

Święto oceaniczne. Okręt podniósł wszystkie swoje metalowe uszy, usta, kieszenie na wiatr, aby usłyszeć, wypić, wchłonąć żarłocznie nuty roztopionego złota, płynnych chlebów złoconych, ponsowych przędziw cukru, omdlałych strzał miodu, motylisk z purpury i lotów mew, podobnych płomieniom ponczu.

Równomiernie dziób rozrywa snopy ze złoconego drzewa i fale z bronzu pieniącego się. Spojrzenie odbija się od wiru rubinów do waru pereł obrębiających płynne kolebki dzieci. Powolne spozieranie

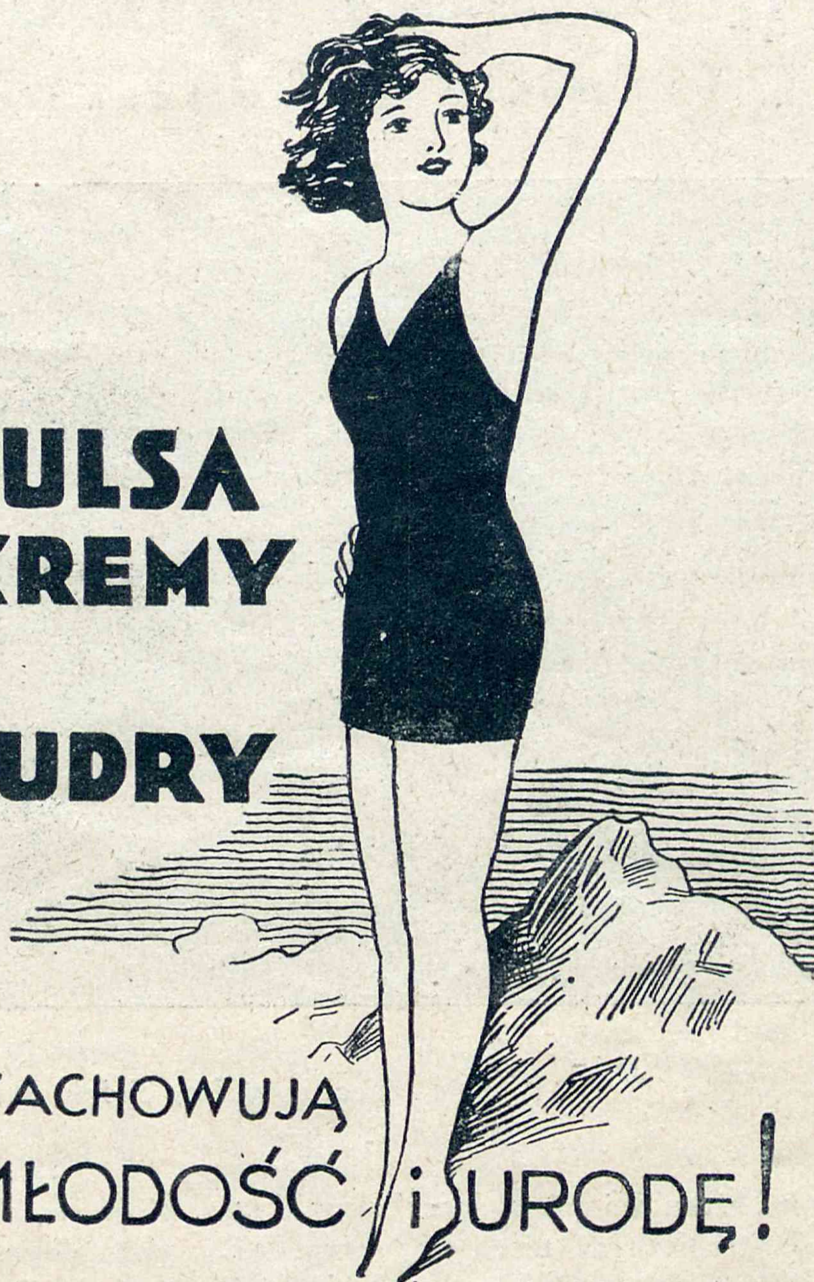


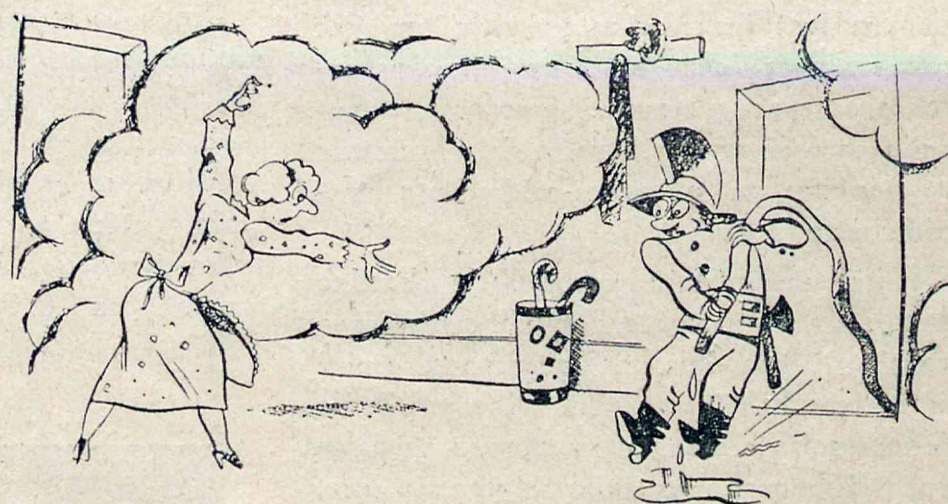
Ponieważ niszczy szybko i skutecznie wszelkie owady i ich zarodki.

Mało wartościowe środki nie oczyszczą mieszkania od dokuczliwych i niebezpiecznych dla zdrowia owadów. Aby wyniszczyć muchy, komary, pluskwy i wszelkie inne owady należy rozpylać tylko Flit. Zabójczy dla owadów, Flit nie pozostawia plam i jest zupełnie nieszkodliwy dla ludzi. Sprzedaż tylko w zakapslowanych żółtych blaszankach z czarną opaską i żołnierzykiem. — Oryginalnego Flit'u na wagę nabyć nie można. Należy wystrzegać się naśladownictw.



FLIT





PODCZAS POŻARU.

— Panie strażak, ostrożnie!... Posadzka świeżo wyfroterowana...

róż zamyślonych. Czyja ręka je rozsiała z takim starannym delikatnym wdziękiem? Słodki taktylizm powietrzny świeżych płatków i ciepły atłas. Huśtawka westchnień i szmerów. Wzrastająca szczęśliwość. Błogość.

Ale jakiś głos, który wydał mi się nieznany, przerywa moją kontemplację. Bej Achmed mruczy za memi plecami, z oczami pełnemi łez:

— To za piękne! To jest piękniejsze od Bosforu! Biedny Stambuł!

Stała się więc nagła tragedja zupełnie nieprzewidziana. Przez zrozumiałą dyskrecję zwróciłem się w stronę dziobu, aby podziwiać zatokę, tak że wyczułem, przejęty zgrozą, ale nie mogłem zatrzymać beja Achmeda, kiedy skoczył na parapet i pochylając się, rzucił się w fale.

Alarm. Krzyki. Zgiełk rozkazów. Marynarze spuszczają łodzie ratunkowe. Transatlantyk hamuje swoje maszyny. Potem, powoli, obraca się wokół siebie, niosąc na belkach grube zasłony czerwieniejące od zorzy porannej. Zdawał się śrubą majestatyczną Zatoki Rio de Janeiro, która obracała się, rozsiewając blaski.

Tracimy godzinę, żeby wyłowić trupa biednego beja, którego ułożył kapelan katolicki na pomoście.

Wydał się wreszcie uwolniony od czasu i przestrzeni. Pojednany.

I rzeczywiście jaśniejący purpurą Bosfor ze złoconemi frędzlami oceanu brazylijskiego owinął go całego pieszczotliwie.

Na brzegu i w Rio de Janeiro wszyscy tłumaczyli samobójstwo beja Achmeda wygnaniem, nieszczęściem finansowem i rozproszeniem się jego rodziny.

Ja jeden wiedziałem prawdziwą przyczynę: boleśnie estetyczną i patryjotyczną.

Tłomaczyła *Hanna Mirecka*

Śmiecie i ich usuwanie

Hańba dzisiejszej Warszawy



Wywóz śmieci w stolicy Polski w XX wieku

Fot. Jan Malarski

Przed kilku dniami wydarzył się w Warszawie tragiczny i niezwykły wypadek. W jednym z domów przy ul. Pawiej, podczas uprzątania śmieci, został śmiertelnie zatruty gazami mieszkaniec Ołtarzewa, 40-letni Władysław Pielnak. Znaleziono go martwego w śmietniku. Wypadek ten jest jaskrawym przykładem, jak groźne niebezpieczeństwa kryją się w dotychczasowym systemie zbierania i usuwania śmieci w stolicy Polski. Istotnie przypomina on czasy niechlujnego średniowiecza.

Miljonowe miasto produkuje bardzo wiele różnych niepotrzebnych odpadków, około 1000 ton dziennie, co wynosi mniej więcej po kilogramie na głowę. O ile większe miasta, leżące zwłaszcza w dawnych zaborach pruskim i austrjackim, kwestję tę od dawna rozwiązały, zaprowadzając szczelnie zamykane śmietniki i odpowiadający warunkom sanitarnym wywóz ich zawartości, o tyle w Warszawie przetrwał jeszcze system odwieczny. Śmietniki stołeczne to przeważnie drewniane, niedomykające się skrzynie, z których wydobywa się nieznośny odór, pył i miljony bakterji, zatruwając powietrze i roznosząc zalążki wszelkich chorób. W niektórych domach, bardziej zaniedbanych, zwłaszcza na krańcach miasta, śmiecie przechowuje się w komórkach jeszcze gorzej zabezpieczonych, lub poprostu zsypuje w kącie podwórza. Nocami, co parę dni, zajeżdżają przed bramy nędzne furki, na które koszami znosi się śmiecie, poczem wywozi się je do glinianek. Rzecz prosta, że po drodze część śmieci spada z wozów, zanieczyszcza ulice, a przy silniejszym wietrze dostaje się, zwłaszcza w lecie, przez otwarte okna do mieszkań. Zaczyna się obłędny taniec mikrobów, nie mówiąc już o straszliwem powietrzu, wydobywającem się z oczyszczanych śmietników i z przejeżdżających przez miasto wózków.

Urąga to wszelkim pojęciom o higjenie, nie mówiąc już o estetyce. Śmietniki nigdy nie dezynfekowane są wylęgarnią wszelkich zarazków i stają się z pewnością źródłem epidemicznych chorób. Dyzenterja, która w lecie 1920 r. pochłonęła kilka tysięcy ofiar, szerzyła się przedewszystkiem dzięki muchom, żerującym na śmietnikach i przenoszącym następnie zarazki do siedzib ludzkich.

Warszawie bezwzględnie potrzeba nowocześnie wybudowanej i urządzonej spalarni śmieci i to znacznie większej od tej, którą posiada Poznań. Inowacja ta wymaga co prawda olbrzymiego kapitału, około 25 miljonów złotych, lecz dotychczasowy system nie może być dłużej tolerowany ani roku.

Cały świat cywilizowany uznał za potrzebne i wprowadził we wszystkich większych miastach spalarnie i specjalny tabor samochodowy do śmieci, który codziennie cichutko, systemem bezpylnym, w ciągu 2 — 3 godz. usuwa śmiecie w godzinach porannych. To samo musi być w Warszawie.

Magistrat warszawski otrzymał niedawno propozycję pewnego fracuskiego koncernu, który chce uzyskać koncesję na wywóz śmieci systemem bezpylnym i na budowę nowoczesnej spalarni, kosztem 26.000.000 zł. Spalarnia wybudowana byłaby według ostatnich zdobyczy techniki, zastrzeżonych przez odpowiednie patenty i licencje. Tylko w tym wypadku można wyciągnąć maximum zysku z przetwarzanych śmieci, inaczej bowiem nie opłaci się eksploatacja samej koncesji, nawet przy najwyższej opłacie za wywóz, obciążającej nadmiernie podatników.

Koncern dysponujący odpowiednimi patentami, wieloletniem doświadczeniem i fachowo przygotowanym personelem, daje gwarancję zapobieżenia dotychczasowym brakom i sprowadzenia systemu oczyszczania miasta na właściwe tory. Koncesja byłaby udzielona na 25 lat, po których upływie spalarnia, tabor samochodowy, warsztaty, garaże i same pojemniki do śmieci staną się własnością miasta.



Wywóz śmieci według nowoczesnych wymagań higieny.



Śmietnik w śródmieściu Warszawy

Przeciwnicy zmechanizowanego systemu wywozu śmieci twierdzą, iż przy obecnych konjunkturach nie można wprowadzać nowych opłat. Słusznie; lecz dzisiejszy, niehygieniczny wywóz też kosztuje, mimo przetrzymywania jaknajdłużej śmieci na podwórkach. Tymczasem, według obliczeń koncernu francuskiego, koszt nowoczesnego wywozu nie przekroczy obecnego.

Czyż naprawdę nie haniebnie wygląda w obliczu całego świata stolica 32.000.000 europejskiego państwa, która do dziś dnia stosuje średniowieczne metody rozwiązania problemu o tak poważnem znaczeniu? Reforma wywozu śmieci w Warszawie jest kwestją palącą, jest bolączką naszego miasta. Miejmy więc nadzieję, że władze nadzorcze zainteresują się należycie tą kwestją i przeprowadzą gruntowną reformę oczyszczania miasta, tak oczekiwaną i upragnioną przez wszystkich mieszkańców.

sw.



Wzorowe śmietniki hermetyczne

„Sarmatis peregrinantibus salus!"

Temi słowy wita podróżnika polskiego kościołek w Ossjaku, w którym, wedle legendy historycznej, spoczywają zwłoki Bolesława Śmiałego. Miasteczko Ossjak znajduje się w centrum jezior karynckich, słynnych z tego, że posiadają wodę bardzo ciepłą. Nawet późną jesienią można się tam kąpać. Karyntja jest wogóle krainą piękną i godną zwiedzenia, zarówno jak Tyrol, Salzburg, Niższa Austrja i oczywiście Wiedeń.

Wiedeńczycy lubią Polaków i chętnie widzą ich jako gości. Podróżnik polski, nawet nieznający języka niemieckiego, potrafi się w Wiedniu zorjentować i rozmówić. Liczna tamtejsza kolonja polska popiera chętnie rodaków podróżujących, starając się im uprzyjemnić pobyt w stolicy naddunajskiej. Rok bieżący będzie dla turystów polskich, podróżujących po Austrji, szczególnie interesującym, gdyż na rok ten przypada 250-ta rocznica odsieczy Wiednia. Z tego powodu projektowane są liczne wycieczki zbiorowe do Austrji. Należałoby sobie zawczasu zarezerwować odpowiednie miejsce i kwaterę.

Samozatrucie
NA TLE WĄTROBY

SAMOZATRUCJE bywa przyczyną wielu dolegliwości (bóle artretyczne, łamanie w kościach, bóle i zawroty głowy, wzdęcia, odbijania, bóle w wątrobie, niesmak w ustach, brak apetytu, swędzenie skóry, skłonność do obstrukcji, plamy, zmarszczki i wyrzuty na skórze, skłonność do tycia, podenerwowanie i bezsenność, nerwowe bicia serca, mdłości, język obłożony). TRUCIZNY wewnętrzne, wytwarzające się we własnym organiźmie, zanieczyszczają krew, niszczą organizm i przyspieszają starość. Choroby z samozatrucia i złej przemiany materji LECZĄ NIE LEKARSTWA A KREW CZYSTA. Wątroba i nerki są organami oczyszczającemi krew i soki ustroju. Najracjonalniejszą i zgodną z naturą kuracją jest unormowanie czynności wątroby i nerek. 20-letnie doświadczenie i najwyższe odznaczenia wykazały, że zioła lecznicze

„CHOLEKINAZA"
H. Niemojewskiego

jako żółcio-moczopędne są jedynym naturalnym czynnikiem, odciążającym soki ustroju od trucizn własnych i zapewniającym szybki powrót do zdrowia. Broszury Dr. med **T. NIEMOJEWSKIEGO** otrzymać można w laboratorjum fiz.-chem. **„CHOLEKINAZA" H. NIEMOJEWSKIEGO, Warszawa Nowy Świat 5.** Na prowincję wysyła pocztą.

Dr. med. T. NIEMOJEWSKI przeniósł przyjęcia chorych w Warszawie z ul. Litewskiej Nr. 3 na ul. Koszykową Nr. 1 (róg Al. Ujazdowskiej).

„Moje przyjaciółki zazdroszczą mi zawsze włosów — chociaż natura mnie pod tym względem niczem osobliwem nie obdarzyła. Moje włosy wzbudzają zachwyt, gdyż posiadają jedwabistą puszystość, lśniący połysk i pięknie się przytem układają. Wszystko to zawdzięczam systematycznemu myciu głowy co tydzień Pixavonem".



W SAMOLOCIE PASAŻERSKIM.

— P. Schmidt z Berlina prosi panią do telefonu.

— Proszę powiedzieć, żem wyszła.



Dokuczliwe upały

powodują częstokroć mocne bóle głowy. Dobrym lekiem okazują się wówczas tabletki Aspirin.

Istnieje tylko jedna ASPIRINA!



Do nabycia we wszystkich aptekach.

Reklama jest duszą handlu

PRZY KAŻDEJ POGODZIE KONSERWUJE I CHRONI NASKÓREK

BELLONA

Olejek witaminowy cena zł. 1 i zł. 2
Krem sportowy witaminowy cena zł. 0.40, 0.75, i 1.40

Bellona Laboratorjum Chemiczne Warszawa, Hoża 41, tel. 9-45-92.
Żądać w aptekach, składach aptecznych i perfumerjach.

WYRÓB KRAJOWY I POLSKI

Własna siedziba K. K. O.

Na mocy Dekretu P. Prezydenta Rzplitej z dnia 13/III.27 r. powołany został do życia przed 4½ laty Zakład pieniężno-kredytowy o cechach użyteczności publicznej w postaci Komunalnej Kasy Oszczędności (K. K. O.) pow. Warszawskiego z siedzibą w Warszawie.

Instytucja ta, wyposażona w pupilarną gwarancję, której statutowo udziela Związek Poręczający — Sejmik Powiatowy (26 gmin podstołecznych oraz 5 miast) ma na celu gromadzenie oszczędności a w wyniku tego uprzystępnianie kredytu taniego dla ludności podstołecznej.

Dotychczasowa — cztero i półletnia działalność K. K. O., choć przypadła na okres powszechnie notowanego kryzysu gospodarczego, dowiodła atoli pełnej żywotności tej nowo założonej placówki finansowej, jak o tem dowodnie świadczą cyfry niżej przytoczone, obrazujące niezahamowany niczem wzrost lokat i wkładów K. K. O.

1/I 1929 r.	— zł. 229.630	(ilość wkładców	— 360)
1/I 1930 r.	— zł. 2.111.367	(„ „	— 1.763)
1/I 1931 r.	— zł. 7.409.697	(„ „	— 5.966)
1/I 1932 r.	— zł. 10.990.673	(„ „	— 16.013)
1/I 1933 r.	— zł. 13.280.271	(„ „	— 20.309)
20/VI 1933 r.	— zł. 15.800.000	(„ „	— 22.920)

Dla ugruntowania swej działalności i jej zespolenia z ważniejszemi ośrodkami życia podstołecznego posiada K. K. O. własne Oddziały: w Pruszkowie, Piasecznie, Jeziornie i Nowym Dworze.



Gmach własny K.K.O. (Komunalnej Kasy Oszczędności) pow. Warsz. przy ul. Zgoda 7.

Wydatna pomoc kredytowa K. K. O., zmierzająca do ożywienia życia gospodarczego w osiedlach podstołecznych, zasila pieniężnie drobne rolnictwo, przemysł oraz w znacznej mierze rozbudowę. Na ogólną kwotę pożyczek (zł. 32.000.000) udzielonych (22.000 osobom) przez K. K. O. w okresie ubiegłej 4-letniej działalności, przypada conajmniej 6 miljonów zł. na budownictwo podstołeczne, w wyniku czego nowo powstające osiedla, jak Legjonowo, Rembertów, Okęcie, Piastów, Włochy i inne w dużej mierze zawdzięczają swój rozwój ożywionej działalności K. K. O.

Liczna klijentela tej Instytucji społecznej, sięgająca dzienie pół tysiąca osób, wymagała dla sprawności obsługi odpowiedniego pomieszczenia i urządzeń. Rozstrzygnięcie tego zadania załatwione zostało w czerwcu bież. roku przez nabycie na własność K. K. O. jednego z okazalszych i stylowych gmachów Stolicy w najruchliwszym jej punkcie przy ul. Zgoda Nr. 7 (róg ul. Złotej). Nieruchomość ta, z placem o powierzchni bezmała 1000 metr. kw. zbudowana przed laty 37, według projektu arch. St. Szyllera na potrzeby dobrze zasłużonej przed wojną Kasy Pożyczkowej Przemysłowców, nabyta została przez K. K. O. pow. Warszawskiego w dniu 17 ub. m. wraz z całkowitem urządzeniem, meblami, kasami i skarbcem w podziemiach, za ogólną sumę zł. 825.000.

Ugruntowany w pełni dotychczasowy rozwój K. K. O., poparty licznym zespołem wkładców (około 23.000 osób) i rocznym obrotem sięgającym 100 miljonów zł., toruje tej Instytucji użyteczności publicznej dalsze pogłębienie zaufania u społeczeństwa przez obywatelskie spełnianie zadań gospodarczych, stanowiących treść działalności tej Instytucji.

Słucham Radja

Poważne, naogół zbyt poważne audycje, umila nam niekiedy życzliwy przypadek. Naprzykład zeszłej niedzieli, po budującem kazaniu, i przed nadaniem zapowiedzianych płyt z Caruzem, miły, choć mocno zirytowany głosik krzyknął niespodziewanie na całą Polskę:

— Kot, bój się Boga, co ty za płyty podajesz?!

Rozweseliły się oblicza słuchaczy. Czekano w napięciu, co będzie dalej. Miaukanie czy odpowie głosem ludzkim? Niestety, za chwilę rozpoczęto audycję z płyt i tajemnica kota pozostała nierozstrzygnięta.

Wesołe pomyłki zacieśniają bardziej kontakt między słuchaczami a studjo, niż przeznaczona do tego celu oficjalna „skrzynka pocztowa". W pozaubiegły wtorek przeczytano nam zupełnie niepotrzebnie list harcerzy z miasteczka Dąbrowy. Młodzi ludzie w zrozumiałej trosce o losy jakiegoś, cennego pono zabytku, wystawili samorzutnie straż na prywatnym gruncie, by ochronić resztki ruin. Właściciel gruntu wyprosił sobie ową interwencję i rozżaleni chłopcy machnęli do radjokronikarza mocny w słowach list, odsądzający właściciela od czci i wiary. Nie wymagamy od młodych ludzi objektywizmu i powściągliwości wyrażeń. List przesłali pocztą i na tej samej drodze mogli otrzymać odpowiedź. Stało się jednak inaczej. Przedstawiciel „Polskiego Radja" pod wpływem kilku pochlebstw skierowanych do niego, zapomniał o zasadzie „audiatur et altera pars" i rozgłosił list przez mikrofon ku hańbie właściciela. Poczem już „od siebie" odsądził go od kultury i zapowiedział groźnie: „może właściciel terenu, *którego nazwiska narazie nie wymieniać nie chcę, dowie się...*" Dziwne doprawdy praktyki! Bez zbadania sprawy, na skutek jednostronnego oskarżenia piętnuje się publicznie jednego radjosłuchacza dla zadowolenia drugiego. Atak kronikarza na bezbronnego obywatela budzi zastrzeżenia zasadnicze. Rozgłos i waga wypowiadanego przez mikrofon słowa są zbyt wielkie, aby lekkomyślnie niem szastać.

Reklamowanie własnej osoby przez referenta „skrzynki pocztowej" nie powinno mieć miejsca. Cóż nas to w gruncie rzeczy obchodzi, że p. kronikarza zapraszają na Polesie i przyrzekają na jego przyjęcie przystroić dom kwiatami; co nas obchodzi, że on tam pojechać nie może, bo inni również zasypali go zaproszeniami... Istnieje przecież Rada Programowa, kontrolująca teksty przed ich wygłoszeniem. Chyba „skrzynka pocztowa" nie podlegała dotychczas tej kontroli, skoro wyskakują z niej takie dziwolągi. Zajęliśmy się szerzej „skrzynką", gdyż uważamy, że mogłaby być cennym łącznikiem między słuchaczami a stacją nadawczą. Dzisiaj nie spełnia swego zadania i zniechęca poważniejszych słuchaczy do wymiany myśli. A szkoda! Gdyby nie reklama własna i niesmaczne odpowiedzi, moglibyśmy mieć 15 minut interesującej, związanej z życiem audycji.

Z audycji przyszłego tygodnia wydają się polecenia godne:

8.VII. Ciekawa audycja muzyki żydowskiej z udziałem nadkantora Kusewickiego.

10.VII. Recital fortepianowy prof. W. Burghata.

11.VII. Koncert symfoniczny, 12.VII. Recital śpiewaczy prof. K. Czekotowskiego i koncert fort. St. Szpinalskiego.

13.VII. Koncert z udziałem K. Żelichowskiego.

14.VII. Recital muzyki Chopinowskiej w wykonaniu p. Sztompki.

Jelaud.

Awantura z „duchem" Wallace'a

Jak wiadomo, nieżyjący od roku sławny na cały świat autor powieści kryminalnych Edgar Wallace był pisarzem nieprawdopodobnie płodnym, pracującym z niesłychaną szybkością. Zwolennicy Wallace'a ucieszą się pewno, gdy się dowiedzą, że wkrótce, o ile prokuratorzy pozwolą, ukażą się nowe tomy tego autora, tym razem dyktowane maszynistce z tamtego świata.

Powiedzieliśmy — o ile prokuratorzy pozwolą — bo rodzina Wallace'a czyni starania, by „ducha" ojca, który zapowiada dalsze tomy, wsadzić do kozy. Spadkobiercy Wallace'a zbierają wcale niezłe tantjemy za utwory poczytnego pisarza. Gdy się ukażą nowe, starych nikt czytać nie będzie i dochody się urwą. Nic więc dziwnego, że syn nieboszczyka Wallace'a dyskredytuje, jak może, angielskich spirytystów, objawiających niezwykłe zainteresowanie „duchem" Wallace'a, pragnącym koniecznie dyktować nowe powieści, do których ustawy angielskie prawa tantjemy spadkobiercom nie dają.

Faktem jest, że bardzo liczne towarzystwa spirytystyczne w Anglji i cała prasa fachowa, temu przedmiotowi poświęcona, pełna jest rewelacji na temat Wallace'a, z którym spirytyści są w kontakcie.

Objawy na seansach, na których występuje astral Wallace'a, są dość oryginalne.

Początkowo zdumiewało wszystkich, że Wallace, który był skończonym dżentelmenem za życia, stał się po śmierci gburem, wyrażającym się w okropny sposób, rozdającym szturchańce damom, obecnym na seansach.

Sprawa jednak stopniowo się wyjaśniła. Oto jednocześnie ze zjawą Wallace'a stale obecny był astral jakiegoś dzikiego indjanina, który nazywał siebie „Czerwonym Obłokiem", a który w sposób brutalny oznajmił, że wraz z trzema jeszcze innymi „duchami", z których jednym miał być duch sławnego rękordzisty automobilowego Henry Segrave'a, nie dopuszczą do tego, by Wallace doszedł do głosu.

Scena istotnie groteskowa i ośmieszająca wspomnienie nieboszczyka, którego rodzina wpadła w furję. Szczególnie syn Bryan Wallace, który pracuje sobie spokojnie w Hollywood w przedsiębiorstwie filmowem, jako fachowiec zdjęć, czyni wszelkie wysiłki, by zdyskredytować angielskich spirytystów i walka zapowiada się jako pierwszorzędna sensacja. Kto wie, czy sprawa nie znajdzie się przed sądem. Byłaby to chyba pierwsza w historji rozprawa na temat życia zagrobowego, która oczywiście byłaby bezprzedmiotowa ze względu na rezultaty i kompetencje sądu.

Dla stwierdzenia swej identyczności Wallace dał się sfotografować na seansie, a z załączonej fotografji Wallace'a za życia widzimy, że podobieństwo jest poważne. Dał również „duch" podpis swój, który jest podpisem autora z tą różnicą, że dla przyczyn, których nie znamy, linje liter są miejscami skręcone.

Cóż mówi Wallace na seansach?

Przedewszystkiem ze słów jego wynika, że pragnie koniecznie „przerwać barjery", jak się wyraża, które mu nie pozwalają udzielić światu tych wiadomości, jakie posiada.

Wymyśla tym, którzy nie wierzą, że to on we własnej osobie astralnej przemawia. Skarży się, że bardzo mu jest trudno trafić do przekonania ludzi na ziemi. Sprawdza ciągle, czy obecni dobrze go słyszą. Prosi, by mu wierzyli.

„Duchy", które mu towarzyszą, objaśniają, że Wallace jest wielką siłą (jaką — nie wiemy), że jest duchem dobrym, ale że nie wie, jak manipulować „eterem".

Gdy go zapytują, czy ma co do powiedzenia swojej rodzinie, odkłada rzecz na później. Dodać trzeba, że pani Wallace umarła w parę miesięcy po śmierci męża, a dzieci zbyt są zajęte widocznie tantjemami, by papę interesować na tamtym świecie.

Ro.



Astralna fotografja Wallace'a



Podobizna popularnego autora za życia

AUSTRJA

Kraj piękny i tani

zaprasza Was do siebie!

Historyczne miasta • Góry średnie i wysokie • Ciepłe jeziora • Kąpiele plażowe • Zródła lecznicze • Kąpiele termiczne • Koleje linewkowe • **Nadzwyczajne zniżki kolejowe!**

Informacji udziela:

Biuro informacyjne „Wiedeń i Austrja" Warszawa Wierzbowa 6
Biuro podróży „Orbis" w Warszawie i we wszystkich jego filjach, tudzież wszystkie Biura podróży, Wagons Lits-Cook, Warszawa, Hotel Bristol, Krakowskie Przedmieście i „Francopol" Polskie Biuro podróży Warszawa, Mazowiecka 9.

ODJAZD...

Dworzec zapełnia się tłumem.
Tłok, wrzawa, gorąco, okrzyki:
— Tylko się kieruj rozumem!
— Jedz w domu!
— Schowałaś kluczyki?

Wkoło mieszają się głosy;
— Tak duszno i parno w wagonie!
„Gazeety, Świaat, Papierosy".
— Maurycy! kłaniaj się żonie!

— Psa pilnuj! A nie pijże znów.
— Przysięgam: za zdradę — zdrada...
— Pa! mój kochany, bądź zdrów!
„Pomarańcze! jabłka! czekolada".

— Weź jutro zaliczkę w kasie
I zaraz doślij mi dwieście!
Rozmowa tonie w hałasie.
„Drzwi zamknąć! Odjazd..."
— Nareszcie!!

Jerzy Laudyn

piękne, białe zęby
CHERYS



Zdrowie to skarb — bądź zawsze ostrożny

ZAKŁAD ZEGARMISTRZOWSKI
T. GAŁECKI
JASNA 8. Tel. 656-74.
Zegary i zegarki o 3-ch zaletach: cena niska, gatunek wysoki, gwarancja fachowa

Skauci! Sportowcy! Turyści!
Przed wyjazdem na wycieczki zaopatrzcie się w
PUDER DJACHYLOWY MOTOR
przeciwdziałający poceniu i odparzeniom



— W naszej dzielnicy ubywa bezrobotnych.
— Co? Znajdują pracę?
— Nie, ale dwóch wczoraj umarło.

HUMOR

ZIMNA KREW

— Co to, smarkaczu, palisz papierosy?! Powiem twojemu nauczycielowi!...
— Niech pan mówi... ja wcale nie chodzę do szkoły.

WSPÓŁCZESNE DZIECKO

— Tadziu, co trzeba zrobić, gdy do tramwaju, w którym zajęte są wszystkie miejsca, wejdzie kobieta?
— Trzeba udawać, że się drzemie...

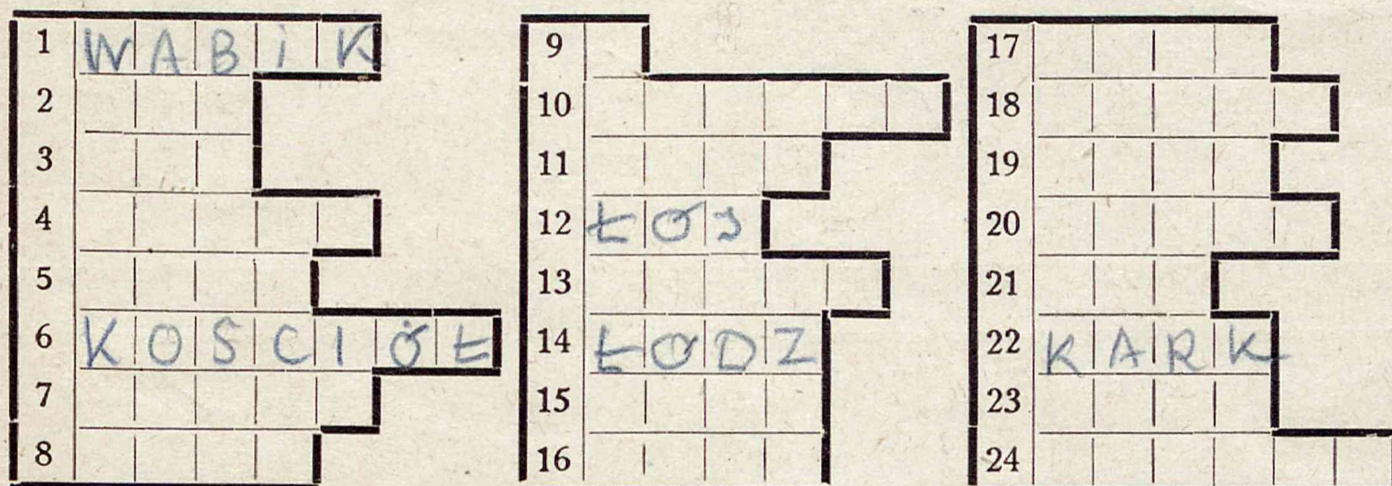


ROZRYWKI UMYSŁOWE

№ 132 (234) ELIMINATKA

Ułożyła * * *

(Za rozwiązanie 10 punktów)



W daną figurę należy wpisać 24 wyrazy poziome o podanem znaczeniu, poczem skreślić w nich te litery, które wchodzą w skład wyrazu (klucza do eliminatki), będącego nazwą „trawy błotnej" (rodzaju roślin trawiastych, z rodziny ciborowatych). Pozostałe litery, czytane poziomo, dadzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów: 1. Piszczałka do wabienia ptaków. 2. Prawy dopływ rz. Biebrzy. 3. Połowa. 4. Inaczej krzak. 5. Rodzaj piły (wspak). 6. Świątynia. 7. Bić metal młotem. 8. Metal, pierwiastek chemiczny (wspak). 9. Spółgłoska. 10. Wielkość ćwierci arkusza. 11. Druga sylaba wyrazu, będącego nazwą owadu, z rzędu żyłkoskrzydłych, którego larwa buduje z ziarnek piasku i malutkich skorupek pochewkę na odwłok. 12. Tłuszcz zwierzęcy. 13. Duży pierścień (2 p. l. mn.). 14. Sprzęt domowy. 15. Miasto fabryczne w Polsce (ż = z). 16. Kij z nawiązaną szmatką do mycia naczyń kuchennych. 17. W dawnej Polsce opłata, wnoszona przez dziewkę, idącą za mąż do innej wsi. 18. Samolub, egoista (o = ó). 19. Żyła kruszcowa, pokład kruszcu (2 p. l. mn.). 20. Niebrzydkie. 21. Wojownik (wspak). 22. Część tylna szyi. 23. Niewiadomo kto? 24. Mącić, mieszać, wzburzać.

№ 133 (235) Dopełnianka

Ułożył Zenon Brenek.

(Za rozwiązanie 7 punktów).

T	A									
	T	A								
		T	A							
			T	A						
				T	A					
					T	A				
						T	A			
							T	A		
								T	A	
									T	A

Należy znaleść dziesięć wyrazów poziomych o poniższem znaczeniu:

1. Walka byków. 2. Klasztor grecko-nieunicki. 3. Ciało, którego sama obecność powoduje analizę lub syntezę związ. chemicz. 4. Choroba wywołana brakiem witamin. 5. Gawiedź, hołota. 6. Nazwa, służąca na oznaczenie wszyst. teorji filozoficznych, które przyjmują jako najważniejszą zasadę wolę. 7. Człowiek miłosierny. 8. Odprawiający rekolekcje. 9. Miasto portowe w prow. Madraskiej (Indje bryt.). 10. Miasteczko portugalskie w prowincji Estremadurze.

№ 134 (256) Szarada

Ułożyła Eugenja Bochnówna.

(Za rozwiązanie 7 punktów).

...pierwsza z czwartą drugiej będzie
płaz w skorupie znany wszędzie:
w ciepłych krajach, u nas w błocie,
choć dość rzadki jest w istocie!
drugie wspak to okres duży,
do podziału dziejów służy.
całość „gniazdem orląt" zwana
pode Lwowem warowana.
...w dwustupiędziesięciolecie
mile zwiedzać ją będziecie.

Rozwiązanie zadań

№ 126 (228). KRZYŻÓWKA MAGICZNA. 1. Sepultura. 2. Zuchwalec. 3. Atlantyda. 4. Trzemdała.

№ 127 (229). SZARADA. Oka. Nil. Kakao. Kalina. — Kaolin.

TRAFNE ROZWIĄZANIA NADESŁALI:

№ 126 (228). (Za rozwiązanie 5 punktów). Jawna Kowalska. N. K. Kozłowski. Z. Tietz. Dorota Herbstmanówna. Fr. Wiśniewski. Marja Strubel. Jadwiga Kwiekowa (Dobrzelin). Zygmunt Pieracki (Wilno). Kazimierz Lilpop. Helena Millerowa (Kraków). Ksawery Faliński. J. Zbyszewski (Kraków). Antonina Solecka. Wiktor Rawicz. Tadeusz Pomianowski. Feliks Siedlecki (Poznań). Gertruda Wolska. Jan Kowalski. Henryk Ostrowski. Tadeusz Ritter. Zofja Górska. Bolesław Nowak. Jerzy Halski. Wiktor Sawicki. Tadeusz Noskowski. Cecylja Lewandowska. Stanisław Taństki. Karol Waldenberg (Łódź). Janina Rowińska. Ola Borman. Henryk Walewski (Lwów).

№ 127 (229). (Za rozwiązanie 10 punktów). Kazimierz Lilpop. Jadwiga Kwiekowa (Dobrzelin). Zygmunt Pieracki (Wilno). Eugenja Bochnówna. Marja Strubel. Fr. Wiśniewski. Józef Modrzejewski (Lublin). Dorota Herbstmanówna. Z. Tietz. N. K. Kozłowski. Jawna Kowalska. Mira Suzinowa. Henryk Walewski (Lwów). Ola Borman. Janina Rowińska. Karol Waldenberg (Łódź). Stanisław Tański. Cecylja Lewandowska. Tadeusz Noskowski. Wiktor Sawicki. Jerzy Halski. Bolesław Nowak. Zofja Górska Tadeusz Ritter. Henryk Ostrowski. Jan Kowalski. Gertruda Wolska. Feliks Siedlecki (Poznań). Tadeusz Pomianowski. Wiktor Rawicz. Antonina Solecka. Józef Zbyszewski (Kraków). Ksawery Faliński Helena Millerowa.

NAGRODY OTRZYMALI:

Mira Suzinowa (Warszawa) — książkę.
Józef Zbyszewski (Kraków) — książkę.

KUPON ZNIŻKOWY Nr. 72

DO TEATRU NARODOWEGO, NOWEGO I LETNIEGO W WARSZAWIE

ważny od 7 do 13 lipca r. b. włącznie, z wyjątkiem niedziel, sobót, świąt, dni przedświątecznych i premjer.

Niniejszy kupon tygodnika „ŚWIAT" uprawnia do nabycia w kasie jednego z powyższych teatrów, o ile wolnych miejsc starczy, w dniu przedstawienia od godziny 6-ej po południu biletu dla jednej osoby ze zniżką. Jedna osoba ma prawo nabywać nie więcej, jak cztery miejsca ulgowe jednorazowo. Przy cenach popularnych zniżka 50% oblicza się od cen normalnych.

50%

MEBLE

NAJKORZYSTNIEJSZE ŹRÓDŁO ZAKUPU

W. NOWAKOWSKI I SYNOWIE

WIELKI WYBÓR — SOLIDNE WYKONANIE

WARUNKI PRZYSTĘPNE

CENY REWELACYJNIE NISKIE

POZNAŃ, G. Wilda 134 WARSZAWA, Warecka 1

PODRÓŻUJMY



SAMOLOTAMI

CENY PRENUMERATY: w Warszawie odbiór na miejscu miesięcznie 5.— zł., kwart. 15.— zł., z odnoszeniem do domu mies. 5.50 zł., kwart. 16.50 zł., na prowincji mies. 6.— zł., kwart. 18.— zł. Zagranicą mies. 8.— zł., kwart. 24.— zł., półr. 48.— zł., rocznie 96.— zł.

PRENUMERATĘ „ŚWIATA" PRZYJMUJĄ: w WARSZAWIE: Administracja „Świata", Szpitalna 12. Telefon Administracji 504-00 i 501-51. Konto czekowe P. K. O. 3755 oraz wszystkie większe księgarnie. W ŁODZI: biuro dzienników i ogłoszeń „PROMIEŃ", Piotrkowska 81. Księgarnia „Czytaj", Narutowicza 2. We LWOWIE: Oddział Tow. „Ruch", POZNAŃ: Gwarna 16.

CENA NUMERU W WARSZAWIE I NA PROWINCJI 1 zł.

Redaktor *St. Krzywoszewski.* Wydawca: „ŚWIAT" Spółka Wydawnicza z o. o. Druk. Galewski i Dau, Warszawa

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA K. U. L.

P